

CENA 50 GR.
ROK II. NR. 31 (44)
WARSZAWA
SOBOTA
4 - VIII - 1934 R.

czas 12442 / 2 / 31

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ZBIGNIEW GRABOWSKI

ŚWIATŁA LITERATURY AMERYKAŃSKIEJ

Ameryka ochrzczona wielokrotnie krajem paradoksów albo krajem wszelakich możliwości, pozostaje nadal wielką niewiadomą, zagadką, której rozwiązanie wypaść może bynajmniej nie tak, jakby sobie tego życzyli rozmaici fachowcy i eksperci. Literatura o Ameryce rośnie z roku na rok, pomnażana bardzo często z winy samych Amerykanów: oto rozmaite wybitne osobistości Europy, przyjeżdżając na ziemię amerykańską na tournée odczytowe pozostawiają po sobie w spadku książki, przeważnie bardzo Niemile odwdzięczające się za zarobione dolary. Każdy szanujący się Europejczyk, który odbył szablonową turę pomiędzy Nowym Jorkiem a Chicago, a ewentualnie Detroit, pisze studjum, które w najlepszej wierze uważa za ugruntowaną syntezę duszy narodu amerykańskiego. Podobnym szczęściem cieszy się i Rosja sowiecka, którą odkrywa każdy wojażer poznający przelotnie Moskwę lub Leningrad.

Książki o Ameryce wahają się pomiędzy dwoma skrajnymi biegunami. Jedne z nich są kategorięcym potępieniem, oskarżeniem na całej linii, wypuklaniem wszelkich ciemnych stron życia amerykańskiego. W świetle tych książek Ameryka to niezorganizowana horda, pozbawiona instynktu społecznego, to bezmiar oszustwa i korupcji, to kondotjerstwo finansowe, balwochwalczą część dla pieniądza, kompletna negacja wartości duchowych. Z drugiej strony wyrastają książki, upajające się rozmachem amerykańskiego przemysłu, poezją drapaczy nieba, fantazją i temperamentem narodu, kolo-salnością urządzeń fabrycznych. Książki te odnajdują na dnie amerykańskiego wrzasku i reklamy, samochwalstwa i dumy, oraz rozdzających się jak grzyby po deszczu pomysłów — potężną afirmację życia, wiarę w siebie i najlepsze nadzieje na przyszłość.

Książki oskarżające Amerykę zyskują w opinii europejskiej lepsze naogół przyjęcie, aniżeli książki nastroszone przychylnie. Tem można tłumaczyć powodzenie studjum hr. Keyserlinga pod tyt. „America set free” oraz fascynujący reportaż niemieckiego dziennikarza E. E. Kische pod tyt. „Paradies Amerika”. Keyserling potępił komercyjność Ameryki, która dla złotego błysku pieniądza sprzedaje duszę, a Kisch z nieznaną pardonu ironją prześwietlił amerykańskie zbiorowisko i cuda techniki U. S. A.

Sympatja dla Ameryki, która w większości krajów Europy osiągnęła swój szczyt w momencie przystąpienia U. S. A. do wojny europejskiej, przeszła raptowny i dramatyczny spadek od chwili, gdy powojenną Europę zalaly falangi amerykańskich turystów. Ci bogaci wojażerzy syści i dostatnio ubrani, zapijający się we wszystkich knajpach, oceniający wszystko w kategoriach dolarów, oglądający miasta i zabytki w potwornie szablonowych turach, — stali się najgorszą propagandą swego kraju. Zbiedniała, skolataną Europą patrzyła na tych brutalnych intruzów w podobny zapewne sposób, jak przed wiekami Grecja na butnych Rzymian. Szczyt niepopularności osiągnęła Ameryka w momencie, gdy zaczęła mówić Europie o najbardziej przykrym temacie, to jest — o spłacie długów.

Pomiędzy Europą a Ameryką leży w tej chwili głucha zawiść i obojętność przypominająca może dawny stosunek kontynentu do

Anglii. Obie strony nie rozumieją się i nie chcą się rozumieć.

Przeciwko wszystkim głosom krytyki, przeciwko wszelkim pospieszonym analizom broni się Ameryka — jak Rosja w wojnie — przestrzeń. W rozmowie z Amerykaninem powraca stale zasadniczy motyw: ludzie piszący o Ameryce nie znają całej Ameryki. Zaden prawie z nich nie przewędrował tego olbrzymiego kontynentu od kanadyjskiej granicy aż po wybrzeża Kalifornji, gdzie po dziś dzień w stylu budownictwa, w mowie i manierach przechowały się żywe tradycje hiszpańskie, wspaniale odpryski świetnej kultury. Niemal żaden z krytyków Ameryki nie przedarł się ku granicy meksykańskiej, nie poznał stanów południowych, które, — jak to przyznał sam surowy hr. Keyserling w osobnym szkicu pomieszczonym na łamach reprezentacyjnego miesięcznika „Atlantic monthly” — są rezerwoarem niezwykłych jednostek i bujnych temperamentów. To stanowisko Ameryki jest niewątpliwie słuszne: syntezę tego kraju otrzymać można tylko drogą całkowitego poznania olbrzymiego obszaru, na którym żyje i narasta z górą 120 milionowa masa wszelkich narodów i ras.

Ta właśnie masa, pstrokata i różnolita sprawa, iż naród amerykański jest dopiero w stadium tworzenia. Z zachłannością każdej młodej rasy wciąga idea amerykańska wszystkie odłamy i szczepy, łącząc je we wspólnym imperjalizmie. Świadomość narodu tworzy się powoli i mozolnie na tych terytorjach ustawicznie zmiennych pod względem krajobrazu, zwyczajów i prawodawstwa, typu fizycznego i tradycji. Najsilniejsze nawet emigracje muszą nieubłaganą logiką wypadków stopić się w tyglu amerykańskim. Przyznają to wszyscy bezstronni znawcy sytuacji, wykazują to gazety różnych emigracji i język zamerykanizowany do gruntu. Każdy obserwujący koleje literatury amerykańskiej może śledzić, jak w oczach niejako powstaje nowy prawie język, pełen niespodziewanych zwrotów, wuchwałych przenośni i niepospolitej niekiedy barwności. Tłumacz utworów literatury amerykańskiej musi się już dziś posługiwać specjalnym językiem amerykańskich wyrażań. Różnice wymowy pomiędzy angielszczyzną, a „amerykańszczyzną” przestały być tajemnicą dzięki wynalazkowi filmu dźwiękowego.

Niesprawiedliwość osądu europejskiego w stosunku do kultury amerykańskiej wynika nie tylko z niezajomości całości terytorjum U. S. A. Jest ona prostym wynikiem krótkowzroczności historycznej, która sprawa, że twór wykształcony jakim jest Europa sądzi embrjon kulturalny — Amerykę. Czemże są niespełna dwa wieki kultury amerykańskiej wobec tysiącleci Europy? Ameryka zaczęła swoje życie zbiorowe w momencie gdy w samej Europie podniosły głowę prądy racjonalizmu, gdy czołowe mocarstwa poszły pełną parą ku komercjalizacji, a wreszcie wyścigowi handlu. Czy można się dziwić, że pozbawiona podstaw historycznych Ameryka, kraj, który nie przeżył logicznej ewolucji i nie wykształcił tradycji, — zachłysł się z zachwytu na widok zabawki techniki i że z tej techniki, jak każdy umysł dziecięcy, uczynił przedmiot uwielbienia i dumy? Oczywiście i Ameryka tworzy swoje rody i genealogie, istnieją już dziś

snobizmy rodów, mogących się wykazać pochodzeniem od pierwszych osiedleńców w takim czy innym mieście — niemniej jednak jakiś olbrzymi dystans dzieli tych karmazynów od starych rodów angielskich, wiodących się od samego Wilhelma Zdobycy!

Prawdą jest, że społeczeństwo amerykańskie nie posiada może tego instynktu, jaki tkwi w nerwach społeczeństw europejskich. Ta niesforna gromada uprawiająca społeczną partyzantkę ma jednakże we krwi zapędy pierwszych kolonistów, którzy szli przebojem i nauczyli się samozaradności. Łupieżstwo amerykańskiej finansjery, raubritterskie zwyżkaje ludzi robiących majątek, to pozostałości czasów swobody i swawoli uprawianych w bezpiecznym kraju. Z tych niewątpliwie czasów wywodzą się także i zmysł ryzyka przyrodzony Amerykaninowi, szeroki rozmach inicjatywy oraz prawdziwe hasło narodowe „keep smiling”, które jest pręciwą narzuczoną maską, niekiedy heroiczną maską, w obliczu straszego żywiołu życia.

Niejednokrotnie głębsi i myślący Amerykanie mówili już o tem, że dopiero załamanie się „prosperity” i niebywałego „boomu” przyniesie Ameryce nową erę. Ameryka, rozpieszczona dzieckiem szczęścia, swawolny młodzieńiec pyszniący się techniką — mówi ci sprawiedliwi sędziowie swego kraju — musi zakosztować nędzy, bezrobocia i głodu, ażeby odrzucić dawną religję pieniądza. I nie można się dziwić, że właśnie nowy prezydent St. Zjednoczonych: Franklin Roosevelt w jednym ze swoich orędzi, wypowiedział pełne wagi zdanie, że gromadzenie pieniędzy nie może być zasadą szczęścia. Powiedzenie to na tle Ameryki staje się po prostu rewolucyjnym. Dlatego też najsprawiedliwym sądem kultury amerykańskiej jest — ciepłowość. Olbrzymi ten kraj znajduje się w tej chwili na rozstajnych drogach, próbuje ulepić nowy kształt swojego myślenia, stworzyć nowe oblicze. Dopiero z chwilą, gdy masa chaotyczna i nieskładna U. S. A. zjednoczy się i sklepi w jednolite społeczeństwo, powstanie prawdziwa kultura amerykańska. W dobie obecnej mamy tylko oderwane jej przebłyski, przecucia i zarysy, przesłonięte niebywałe rozbudowanym gmachem cywilizacji i komfortu.

Czy te wszystkie nadciągające przemiany, ta nowa ocena wartości życia — były procesem tajnym i niedającym się wysledzić? Bynajmniej. Literatura, która jest rodzajem seismografu notującego niepochwytnie dla zmysłów drżenia powłoki społecznej, wysuniętą stacją obserwacyjną spostrzegającą nadchodzące chmury kryzysu wewnętrznego lub też zwiastowanie słońca nowej wiary — zapowiadała już oddawna na terenie Ameryki zwrot ku rzeczom innym, ku nowemu idealizmowi.

Zanim doszła do afirmacji nowej wiary, ku innym wskazaniom pozytywnym oczyściła atmosferę życia społecznego ogniem krytyki niebywałe surowej i ostrej. Wiemy o tem dobrze, że najwybitniejsze umysłowości U. S. A. nie czuły się swojo w kraju rodzinnym, na co dał dowód zarówno kapryśny talent niesamowitego E. A. Poe'go jak pełen polotu i zrównoważenia zarazem umysł powieściopisarza Henry Jamesa, niestety mało znanego w Polsce brata bardziej u nas sławnego Williama Jamesa, autora klasycznych

TREŚĆ:

K. MANSFIELD
W PRZEKŁADZIE
MARJI GODLEWSKIEJ
L I S T Y
WŁADYSŁAW BUCHNER
DWA NIEZNANE
LISTY CONRADA
KORZENIOWSKIEGO
STEFAN ESSMANOWSKI
H O N O R
I O B O W I Ą Z E K
ROZMOWA Z PIOTREM
CHOYNOWSKIM
ANIELA ZAGÓRSKA
W NAJROMAN-
TYCZNIEJSZYM
MIEŚCIE ŚWIATA
WOJCIECH BĄK
D E S Z C Z
P R O R O C Z Y
OLGA DAUKSZTÓWNA
SEN O SPARTANCE
EDWARD KOZIKOWSKI
DO PRZYJACIELA
ZBIGNIEW GRABOWSKI
Ś W I A T Ł A
L I T E R A T U R Y
AMERYKAŃSKIEJ
R E C E N Z J E
T O I O W O
SPRAWOZDANIA
NOTATKI KRONIKA

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/35

„Doświadczeń religijnych”. Pisarze Ameryki współczesnej z Uptonem Sinclairem i Sinclairem Lewisem (często mieszanymi w Europie) oraz z krytykiem Menckem na czele nie przebaczyli żadnego grzechu swojej ojczyźnie. Postawili w krzyżowym ogniu krytyki wszystkie niemal dziedziny jej życia zwłaszcza zaś Sinclair Lewis, który kolejno i niejako metodycznie prześwietlił typy amerykańskie od mieszczańskich Babbittów aż po bigotów typu rodziny Elmer Gantry oraz nieuczciwą medycynę i pseudo-naukę w mistrzowskiej powieści „Martin Arrowsmith”.

Pisarze ci, posiłkowani przez plejadę mniej sławnych towarzyszy po piórze, odegrali wobec Ameryki rolę twórców „okresu krytycznego”, który jest stale zarówno w życiu jednostki jak i zbiorowości zapowiedzią odbudowy, zastanowienia się wewnętrznego i nowych decyzji. Śmiałość krytyków amerykańskich obrazuje najlepiej wykłady przez świętoszkowatość pewnych kół sędziego Lindsay, autor niezapomnianych dokumentów, z których niezawsze trafnie wysnuwał uogólnienia i wnioski natury obyczajowej. Ale i w tym człowieku odwagi cywilnej i prawości myślenia napotykałyśmy charakterystyczne cechy psychiki anglosaskiej: praktyczne dedukcje z otrzymanego materiału życiowego oraz fanatyczny zapal proroka wierzącego w słuszność swej sprawy. Sędziego Lindsay'a usiłowano zdyskwalifikować przez twierdzenie, że jego ostatnia książka „Trudna droga” jest odwołaniem hasel głoszonych w poprzednich tomach t. j. „Buncie młodzieży” i „Małżeństwie koleżeńskim”. Tak tymczasem nie było. Lindsay zaznaczył poprostu, że w obecnym ukształtowaniu się stosunków i panującym fałszu obyczajowym, jego hasła i teorie są niebezpieczną i trudną drogą i dlatego nie zaleca ich każdemu. I w tem przyznaniu się Lindsay'a wolno nam widzieć rys uczciwości często spotykany u myślicieli i teoretyków anglosaskich.

Z bogatej i trudno równocześnie dostępnej dla europejskiego widza produkcji amerykańskiej, chciałbym tu wskazać na kilka przejawów, które najlepiej świadczą, że w psychice amerykańskiej coś się lamie i przesila. Książki, o których tu wspomnę, posiadają jedną wspólną nić ideową, jedno osobliwe nastawienie, obce dawnej produkcji, rodzają myślenia zastanawiającego i budzącego w mózgu nawet przeciętnego czytelnika zastrzeżenia co do amerykańskiego „materiałizmu”.

Na czołowym miejscu postawię wspomnianą już powieść Sinclaira Lewisa „Martin Arrowsmith”, która w języku polskim ani rusz nie może się doczekać wykończenia (wydano dotychczas tylko część pierwszą). Powieść ta za którą autor dostał słuszną nagrodę Nobla, nie jest niczem innym jak obszerną panoramą krytyki wielu warstw społecznych — głównie świata nauki i życia uniwersyteckiego — spiętą harmonijnie z pożytecznym programem: pochwałą bezinteresownego trudu nauki, badania dla badania, pochwałą odrzucenia pokusy pieniądza i szukania zadowolenia wewnętrznego. Bohater tej powieści w swej życiowej wędrówce przebija się mozolnie ku szczytom, omijając pokusy łatwego zarobkowania i otumaniania ludzi swą pozorną wiedzą. Odrzuca rozkosze praktyki lekarskiej opartej na autoreklamie i trickach, wspaniale wprost opisanych przez Lewisa, i wkracza w podwoje laboratorjum, ażeby tam w długim trudzie dojść do czegoś — a może nie dojść do niczego. Mistrzem jego jest ironiczny prof. Gottlieb, wzorowany niewątpliwie na wielkim uczoneym Loebie, podobnie jak zarysy postaci Martina Arrowsmitha podpatrzone zostały u Pawła de Kruif, uczonego i pisarza, autora słynnych „Łowców mikrobow” i świeżo uprzysiężonej polskiemu czytelnikowi książki „Walka nauki ze śmiercią”. Ze ścisłej współpracy obu autorów wyrosła powieść Lewisa, oparta o szacunek dla faktu i zdarzenia, powieść będąca hymnem na cześć bezinteresowności służby prawdziwej, twórczego sceptycyzmu wobec wszystkich łatwo uznawanych bóstw i odwagi nowoczesnego człowieka, który w skomplikowanym życiu chce odnaleźć światło przewodnie: wysoką ideę. Sam de Kruif swoimi życiorysami pisanymi z niezwykłym talentem jest również szerzycielem tej nowej wiary amerykańskiej, wybiegającej poza nawias taniego groszorbstwa i zapatrzenia się w pieniądź, jest chwalcą życia trudnego i bezinteresownego, szukającego zadowolenia w sobie, a nie w rozgwarze gromady i pozor-

nych sukcesach roztrąbionych przez reklamę i gazetę.

Piękny monument nowego idealizmu amerykańskiego — powieść Sinclaira Lewisa, pisana z pasją i werwą, nieprześcigniona jako obraz opisanego środowiska, spotyka się utajonemi niemi ze znanym utworem Thordona Wildera — „Most w San Luis Rey”. Opowieść ta, spopularyzowana przez film, stała się jednym z sukcesów amerykańskiego rynku podobnie jak utwór młodej pisarki Marji Osteno. (— pisarki amerykańskiej, a nie skandynawskiej) „Krzyk dzikich gęsi”. „Most w San Luis Rey”, pisany w kwintnie i wyszukanie, a równocześnie bez żadnego polowania na efekt, stylizowany spokojnie i bez przesady, to jeden z najlepszych utworów tego piśmiennictwa, którego zasoby talentów są istotnie nieprzebrane. Powieść Wildera przeniknięta jest jakąś zbożną czcią dla człowieka, dla najmniejszej

nawet duszy, której losy istotnie spotykają się i przecinają z losami innych tak dziwnie i zagadkowo. Owiewa to opowiadanie płynące prosto i pozornie bez zdarzeń, ale pełne utajonej dynamiki w treści wewnętrznej, cichy mistycyzm i zadumanie nad bytem, idealizm, który widzi w życiu wartości wyższe jak miłość i religja, jak zamyślenie nad sobą, jak kontemplacja.

To same zamyślenie nad duszą małego człowieka przynosi nam nieznaną w Polsce autorka Helene Grace Carlisle, której utwór „Mother's cry” zdobył sobie przebojem rynek amerykański. Jest to historia prosta, opisana językiem aż zbyt prostym, niewyszukanymi słowami, płynąca tak naturalnie jak słowa z ust matki, której dzieci pochłaniały wielkiego miasta. Zawarty w tej niezwykłej a skupionej pod względem treści książce jest cały obszar wzruszenia, patos ludzkiego życia, które się nie liczy.

Opanowane wzruszenie tai się u dna utworów Ernesta Hemingway'a, który zdejmutował powieścią „Fiesta”, noszącą w sobie jakiś nieświadomy może nalot światowości Paul Moranda. „Fiesta”, te kapitalnie opisane przygody barbarzyńcy amerykańskiego w Paryżu i Hiszpanji, to cięta krytyka przeciętności, która nie potrafi niczego dojrzeć poza barem i kieliszkiem. Powieść „Pożegnanie z bronią”, jedna z najodważniejszych jakie zostały napisane o wojnie — dała nam miarę niezwykłego talentu pisarza, który stylem swoim zajmuje chyba pierwsze miejsce w plejadzie młodych amerykańskich autorów. Ten styl polyskliwy i chłodny jak klinga, styl lapidarnych skrótów i celowej ekonomii, kryje w sobie to właśnie przymowane wzruszenie, które wybucha w końcowych epizodach książki, opisujących pobyt kochanków w Szwajcarii i poród Katarzyny. Bolesny uśmiech wielkiego rozczarowania, będącego bodaj urazem powstałym przez wojnę, uwydatnia się też i w następnych jego powieściach i nowelach. Ale równocześnie ten ironiczny mistrz jest obrońcą ludzkiego uczucia, jest wyznawcą wartości niepostrzeganych przez cywilizację komercyjną.

Jak daleko posunęła się intelektualizacja literatury amerykańskiej o tem świadczy doskonale James Branch Cabell, który jest jakimś Anatolem France dzisiejszego piśmiennictwa amerykańskiego. Jego ironiczne parafrazy średniowieczne, a przedewszystkiem głośny „Jurgen” są istną uctą subtelności, meandrem myśli wysoce wyrafinowanej. Idzie z nim w parze drugi ironista, znany już dobrze w Polsce John Erskine, autor głośnego „Życia prywatnego Heleny trojańskiej” i nieprzełożonego jeszcze u nas utworu: „Tristan i Izolda”. Persyflaże jego, będące przednią offenbachjadą na modłę nowoczesną dowodzą wysokiego poziomu sztuki ironji współczesnej Ameryki, lubiącej pokpiwać sobie z uwielbiającej tradycje Europy oraz zaznaczonego już poprzednio procesu intelektualizacji literatury amerykańskiej. Dowodzi tego również ciekawa twórczość Aikena, którego powieści wsparte o analizę freudowską, wybiegają daleko poza szablonowe ramy powieści psychologicznej Ameryki.

Wysunięte tu postacie i utwory zaznaczają tylko lekko jak kreskami te procesy, jakie dokonują się w literaturze potężnego kontynentu amerykańskiego. Każdy miesiąc wyrzuca nowe utwory pełne świeżości i śmiałości, pełne nowego urobienia stylu i obrazów. Nie sposób zarejestrować wszystkich nazwisk i tytułów — a nawet nie trzeba. Lepiej wybrać te postacie i te powieści, które pozostaną na stałe, chociaż równocześnie były przez długi czas „best sellerami” t. j. rzeczami najlepiej idącymi. I ten właśnie odłzwiek wśród publiczności nie jest obojętny dla samej sprawy. Dowodzi on bowiem, że dobra książka w Ameryce nie jest bynajmniej zapomniana. Najostrzejsza krytyka wychodzi od samych Amerykan i publiczność amerykańska łyka te gorzkie pigułki z zadziwiającą ochotą. Nie należy sądzić Ameryki według pism gatunku „Chicago Tribune” i według ohydnej „yellow press”, ogłupiającej masy. Należy pamiętać, że Ameryka, kraj reklamarskich plodów gazetarskich stworzyła równocześnie wspaniałe periodyki, postawione na najwyższym poziomie, by wspomnieć tylko „Atlantic monthly”, „Forum” i dziesiątki innych.

Artykuł mój, z konieczności szkieletowy usiłował wskazać na pewne metamorfozy i przemiany. Zarówno to jak i wybór utworów mogą ulegać dyskusji i są niedostateczne. Nie o to mi jednak chodzi. Chodzi mi o radosne stwierdzenie faktu, że w Ameryce wieje inny wiatr, że kryzys swym brutalnym naciskiem wywołuje inne myśli. Chodzi mi o to, ażeby rozproszyć fałszywy osad mniemań o Ameryce, ocenianej zwykle na wyrost, podczas gdy znajduje się ona według wymagań historii w drugiej dopiero fazie rozwojowej: fazie młodzieńczego zastanowienia. Jakie wnioski wysnuje ten obiecujący młodzieńiec trudno dziś doprawdy przewidzieć.

Literatura jednak zdaje się świadczyć, że kultura amerykańska, kultura w stanie fermentu i tworzenia się, kultura pełna błędów i potknięć, nie pójdzie po linii pesymistów, którzy starali się zapomnieć o jednym wspaniałym atucie rasy anglosaskiej: twórczym optymizmie i zdolności przemiany.

WOJCIECH BĄK

DESZCZ PROROCZY

Deszcz jak namiętny płacz proroka
Nad miastem szłocha opętańczo.
Jak groźne słowa Jeremiasza
Na szybach płynne bicze tańczą.

Jak święty w piersiach wstrzymywany,
Nareszcie lunął tą ulewą
I bije w okna, chłosta ściany
Szumiącą nawałnicą gniewu.

Prorocze, złote oburzenie
Lawiną deszczu tnie dokoła —
I grozi pomstą — jak sumienie,
I jak sumienie — prawdy woła!

A ludzie, jakby nie słyszeli,
Szepta o kinie, o kantorze —
I darmo płynie z chmur proroczych
Tragiczne objawienie Boże!

Jedynie przerażone dzieci
W swych bogumiłych sercach krwawią
I płaczą gorzko jak poeci
Nad ciemnym sensem tych objawień!

Nad bezradnością gróźb proroczych
W tej nazbyt ludnej miast pustyni —
I w pierś się biją, o śmierć proszą
Za cały świat, za wszystkie winy!

OLGA DAUKSZTÓWNA

Z poematu: „Alojzy Gryf Paulucci”

SEN O SPARTANCE

Znów w nocy płacze we śnie Alojzy,
bo kwitną w gajach złote mimozy,
i po zaułkach nocnej Rawenny
brodzi błękitny księżyc wiosenny.
Hełm ma wikinga, płaszcz biało-kruczy,
więc płacze mały Alojz Paulucci.
Zrywa się w nocy z twarzą strwożoną...
Broń go, najczystsza, cicha Madonno!
Niech go aniołów hufiec otoczy,
niech mu położą ręce na oczy.
Bo spojrzysz tylko: pod okna krata
chwiejają mimozy poświęta kwiatów,
a mały Alojz w swe wąskie dłonie
zbiera pył złoty i w kwiatach tonie,
a potem idzie w księżycu biały,
a gdzieś stukają rzymskie sandały,
gdzieś w gajach kwilą fauny i bogi,
gdzieś wieją płaszcze normandzkie, wrogie.
A mały Alojz już na krążanku
woła śniąc ciągle: — Jesteś Rzymianką?
Jesteś Sklawonką?... Jesteś Normanką?...
Lecz noc wiosenna milczy Spartanką
i stąpa twardo w fałdach chitonu,
a lisek rudy gryzie jej łono.
Widzi to Alojz, drży do poranku,
krzycząc boleśnie: — To ty, Spartanko!...

EDWARD KOZIKOWSKI

DO PRZYJACIELA

Dla Ciebie — mój przyjacielu —
układam tych kilka zwrotek,
syconych lasu zapachem,
pojonych barwą stokrotek.

Przychodzę do Ciebie z miasta,
które jest wielkie i gwarne,
rankiem dysząc pośpiechem,
wieczorem od potu parne.

Od fabryk idę dudniących
warkotem licznych potworów,
przetwarzających myśl ludzką
w rytmicznym trudzie motorów.

Przynoszę z sobą tęsknotę
parkanów, ulic, chodników,
tęsknotę za całokształtem,
jak brył harmonja w pomniku,

tęsknotę nic nieznaczącą,
jedną z tych tęsknot niewielu,
by w życie pełne się wcielić
raz bodaj — mój przyjacielu, —

by trawą wrócić między trawy,
z oddechem ziemi się zbratać,
by wiatrem wzbijać się w niebo
i ponad chmurę wylatać, —

by lec kamieniem na drodze
w oczekiwaniu przemiany,
by zginąć w ziemi żelazem —
miast gwoździem spajać parkany, —

by uciec od gwarów miasta,
zmyliwszy drogi do celu,
i trafić pod Twoją strzechę —
do Ciebie — mój przyjacielu.

Tu niema serc w okiennicach,
patrzających pustką otworów
na zmienność życia dokolną
w różnorodności kolorów.

Tu wszystko sercem oddycha,
i dla każdego człowieka,
starczy go jeszcze dosyta,
jak plastrów miodu w pasiekach.

DIALOGI AKADEMICKIE

HONOR I OBOWIĄZEK

Rozmowa z Piotrem Choynowskim

Kiedy zacząłem się zastanawiać nad wyborem tematu rozmowy z Choynowskim, spostrzegłem z niepokojem, że mój przyszły interlokutor przedstawia mi się, jak na „persona dialogi”, zbyt abstrakcyjnie — właściwie tylko jako pewna suma artystycznych wartości. Probowalem przyodziać je w jakiś czelczy kształt, lecz patrzącemu wyłącznie przez ekran utworów, psychiczna sylwetka pisarza rysowała się wciąż w liniach wytwornie stylizowanych, doskonałych, posagowych, niby styl jego własnej prozy. Marmurowa figura, mira arte polita, jakby rzekł który z Panów Sulerzyckich. I jakżeż tu z posągiem nawiązać rozmowę?

W przeddzień wywiadu siedziałem w towarzystwie dwu młodych służek Melpomeny, lecz troska dnia jutrzejszego kąsała mnie skrycie w serce.

— Ma pan pisać o Choynowskim? — rzekła jedna z mych towarzyszek. — Nie lubię go.

— Kobieta, mająca poczucie własnej godności nie może go lubić — zawyrokowała druga.

— Artysta niepospolitej miary... — zaoponowałem cichutko.

— Ah, nie o tem mowa. Lecz stuprocentowy mężczyzna, piszący tylko dla mężczyzn.

— Bagatelizujący kobiecą psychikę...

— Z jej bogactwem i subtelnością...

— Jaką rolę każe grać kobietom w powieści „Młodość, miłość i awantura”...!

— Czyni je poprostu automatami do zaspokojenia własnych i cudzych zmysłów...!

— A tymczasem jest całkiem przeciwnie? — udało mi się wtrącić w duet zirytowanych głosów.

— Naturalnie — przytwardziła jedna.

— Co przeciwnie? — wolała się upewnić druga.

— Są automatami do niepokojenia zmysłów...

Spod gęsto natuszowanych rzęs jednej strzeliły pioruny pogardy, druga wykrzywiła karminowane wargi z niesmakiem.

— Samczy dowcip.

— A Choynowskiemu może pan powiedzieć...

— Ze jest stuprocentowy mężczyzna? Dobrze powiem mu. Niech się martwi, niech się zagryzie na śmierć.

I rzeczywiście nazajutrz powiedziałem. Nie od tego jednak rozpoczęła się nasza rozmowa. Zainicjował ją gospodarz propozycją napić się herbaty. Była to propozycja całkiem nie na fidjaszową miarę — bardzo ludzka, bardzo polska, omal staropolska. Z tego też powodu pewnie natchnęła mnie do niespodziewanego zapytania autora „Kuźni” o przyczynę, która skłania go do wyboru tematów czasowo odleglejszych i zatrzymuje u samego progu naszej obecnej, powojennej epoki.

— Przyczyna tkwi poprostu w usposobieniu — odrzekł. — Dzisiaj ogólnie daje się zauważyć tendencja przeciwna: pęd do zanurzenia się po uszy we współczesność; ludzie zdradzają wstręt do historycyzmu. Jeśli chodzi o mnie, to od wczesnej młodości zamiłowania, studja — zuryjskie i krakowskie — lektura, wszystko wiodło mnie właśnie w przeszłość. Chętnie poświęciłbym i dziś więcej czasu historycznym studjom...

— Gdyby...?

— Gdyby nie wiek, zajęcia no i trudności w korzystaniu ze źródeł. Szkoda, że nie rozpowszechnił się u nas zwyczaj przesyłania książek do domu, zwłaszcza z bibliotek, znajdujących się w innych miejscowościach.

— Interesują pana zdaje się czasy stonkowo niezbyt odległe?

— Pociąga mnie szczególnie przełom wieku XVII-go na XVIII-ty...

— Epoka w naszej historii najbardziej spostonowana.

— Znienawidzona i oczerniona. Na pierwszy rzut oka pojąć trudno jak ludzie mogli żyć w tej epoce. A przecież żyli i od-

krywanie tego życia szczególnie mnie cieszy. Poza to, jak pan wie, zająłem się bliżej rokiem 63-cim i najbliższym mu okresem.

— Umiłowanie przeszłości — zauważyłem — jest czasem objawem wtórnym, zrodzonym z niechęci do dnia dzisiejszego; w epokach ubiegłych szuka się schronienia przed teraźniejszością.

— Ta uwaga, choć może w zasadzie słu-

— Kult dla formy dzielę z całym swym pokoleniem. Niech pan pamięta, że młodość moja przypada na epokę „Chimery”.

— Lecz równocześnie zajmuje pan pewne określone stanowisko wobec innych problemów, na przykład etycznych.

— Owszem. Interesują mnie one również.

— A pański zasadniczy postulat w tej dziedzinie?

Jest to niejako resztką feudalizmu, która wsiąknęła w szerokie warstwy społeczne. Z tym momentem honor zaczyna odgrywać swoją ważną rolę.

— A jest...? — podsuwałem podstępnie.

— Tego się naprawdę nie da w paru słowach streścić — zastrzegł się. — No, cóż? Najogólniej ujęty honor to chyba poczucie godności osobistej i branie pełnej odpowiedzialności za swoje czyny wobec świata i wobec siebie...

— Trudno o ten honor w epoce, w której poczucie „godności” i odpowiedzialności opiera się często na wartościach materialnych — sile pieniądza.

— Czy nie nazbyt pospieszne uogólnienie?

— Na zbyt szerokiej płaszczyźnie traktuje pan tę sprawę. Dla mnie przedstawia się ona prościej. Jesteśmy narodem kulturowo młodym, młodszym od innych. Z tej młodości naszej plyną pewne braki, pewne niedociągnięcia w różnych dziedzinach, między innymi i moralnej. Ot, przykro mówić..., ale poprostu zrealizowanie 10 przykazań a zwłaszcza siódmego napotyka u nas na większe trudności, niż gdzieindziej. To jednak jest tylko wynikiem naszej młodości. Lecz że rozwijamy się i dojrzewamy szybko, więc poprawa następuje omal z każdym dniem. Nie mam najmniejszych obaw, że wkrótce tak pod względem etycznym jak każdym innym osiągniemy poziom, na jakim się znajdują narody o starszej od nas kulturze.

— Jest pan zdecydowanym optymistą?

— Chętnie się do tego przyznaję.

— I nie konstataje pan silnego obniżenia się etycznego poziomu w życiu powojennym.

— Owszem. Skutki wojny przyniosły pewne rozluźnienie obyczajowe, jeśli pan tak już koniecznie nalega.

— Nie, specjalnie się przy tem nie upieram. Niektórzy jednak w przejawach współczesnej obyczajowości dostrzegają symptomy upadku całej kultury.

Ah, ma pan myśli der Untergang des Abendlandes? Nie, nie wierzę w to. Chyba w granicach światowych, bankructwo całej Europy. Lecz to nie takie prędkie jeszcze. Ale mnie chodzi w tej chwili o Polskę i tutaj nie widzę powodu do żadnych obaw.

— Skoro mowa o obyczajowości to idąc od siódmego przykazania zwyczaj, zapytam jak się pan zapatruje na życie ułatwione — w tem węższym rozumieniu słowa. Poprzednio bowiem nadałem mu szersze znaczenie.

— Chodzi panu o reformę seksualną, małżeństwa koleżeńskie i t. d.?

— Tak.

Choynowski zastanowił się chwilę.

— Kiedy mowa o tych sprawach, to boję się zawsze o krzywdę kobiety. Jej ochrona jest dla mnie punktem wyjścia wszelkich w tej materji roztrząsań. Kobieta była i jest słaba i skrzywdzona. Tam gdzie musi się ratować, ratuje się jak może.

— Czy nie przychylił się pan do zdania Irzykowskiego, że realizacja życia ułatwionego leży raczej w interesie mężczyzn niż kobiet.

— Owszem. Twierdzenie to ma dużo słuszności. Wie pan... — tu wstał i przeszedł się parę razy po pokoju. — Wie pan, że jak czytam te wezwania do równouprawnienia płci w zakresie erotyzmu, to skargi na seksualną sytuację kobiet, to pojęć nie mogę żarliwości, jaka z nich bije. Boć przecie wszystko to redukuje się do jednej dość indywidualnej pretensji: „Mało, mało”. Doprawdy, niechże te panie zwrócą swoją uwagę na to, jak się dzieje kobietom na świecie. Niech się przyjrzą ich położeniu i pracy w chłopskiej chacie czy urzędniczej rodzinie, a nie ograniczają się jedynie do nie-doborów alkowy. Niech się zajmą istotną krzywdą tej, która, już przez samą naturę obdarzona ciężkimi obowiązkami, pada tak często ofiarą męskiej zbrodni. Niech jej rzeczywiście ułatwią życie, a nie tylko użycie. Rozumiem sufrażystki, ale z apostołkami „życia ułatwionego” trudno mi się pogodzić.



PIOTR CHOYNOWSKI

Rys. E. Głowacki

zna, nie może mieć zastosowania, jeśli chodzi o mnie — zaprzeczył żywo Choynowski. — Nie myślę uciekać od epoki, w której się spełnił największy cud — Niepodległość Polski. Nasza nowa państwowość jest dla mnie źródłem nieustannej radości. Cieszę się nią jak dziecko.

— Niedawno byliśmy czytelnikami żywej dyskusji na temat stosunku literatury do państwa. Jakie jest pańskie zdanie w tej sprawie?

— Odpowiem panu najpierw zasadniczo. Mojem zdaniem nie da się artyście narzucić problemów. Jednych będą interesowały przedewszystkiem kwestje państwowe, socjalne, czy etyczne, dla drugich na pierwszy plan wysunie się zagadnienie czystej formy, a inni wolą patrzeć we własny pępek. Może się zdarzyć, że utwory tych ostatnich będą miały największą wartość.

— To zasadniczo...

— A osobiście? Osobiście stoję twardo na gruncie państwowości. Polak moim zdaniem jest od tego, żeby niepodległość zdobył a zdobytą utrzymał. To najważniejsze. Stąd też może plynąć pewien strach ryzyka, jeśli chodzi o zagadnienia przebudowy społecznej. Bałbym się, aby w eksperymentach socjalnych nie zatraciła się rzecz zasadnicza.

— Wspomniał pan przed chwilą o rozmaitych zainteresowaniach artystów. Mam wrażenie, że najbliższy jest pan grupie tych których zagadnienie formy pociąga w pierwszym rzędzie.

— Wolność, która się kończy tam, gdzie się zaczyna wolność drugiego.

— Uznaje więc pan tylko nakazy moralne, podyktowane niejako zzewnątrz; wpływające z utylitarnej chęci unormowania międzyludzkich stosunków. Maksimum korzyści dla każdego. Właściwie — życie ułatwione...

— Myli się pan. Nie jestem zwolennikiem życia ułatwionego i uznaję nakazy, płynące z wewnątrz.

— Mianowicie?

— Nakazy honoru i obowiązku.

Honor! Najcudowniejsze z imponderabiljów. Jak pięknie zabrzmiało to słowo. Lecz Choynowski jak na złość zaczął się wycofywać.

— Właściwie wolałbym, żeby pan o tem nie wspominał...

— Czemu?!

— Nie chciałbym być źle zrozumiany. Pojęcie honoru przyczepia się u nas do rzeczy małych i śmiesznych jak karty, pojedynki. A mnie nie o to chodzi.

Nie miałem ochoty wypuścić zdobyczy.

— Słowo zostało ośmieszzone, powiada pan. Racja. Lecz komuż bardziej jak Akademikowi przystoi przywrócić sło-wo w właściwe znaczenie i słuszny blask.

— Rzecz wymagalaby doprawdy obszernych komentarzy — ustępował niechętnie Choynowski. — Właściwie trzeba było specjalną rozprawkę o tem napisać. Pomijając łacińską etymologję, pojęcie honoru rozwinięło się jak pan wie w średniowieczu.

— Mówiliśmy przed chwilą o honorze, o poczuciu odpowiedzialności — dorzucił.

Te czynniki etyczne powinny w stosunkach dwóch płci odegrać ważniejszą rolę i zapobiec niejednej krzywdzie kobiecie.

Teraz wspominałem o mojej rozmowie z dnia poprzedniego.

— Czy okazują więcej zainteresowania dla psychiki męskiej? Możliwe — zgodził się Choynowski. — Przyznam się panu, że jest dla mnie bardziej zajmująca. Wpływa też na to i mój historyczny punkt widzenia; uwagę moją przyciągają ci, którzy te historje tworzą — więc przede wszystkim mężczyźni. Nie zdaje mi się, żebym rolę kobiety ograniczył do funkcji seksualnych w tych wypadkach, gdzie pełny jej udział w życiu narodowym i społecznym zaważył na dziejach; a więc w roku 63-cim i bezpośrednio po nim następującym okresie. Kobieta tych czasów miała wartość społeczną, którą sumiennie starałem się uwypuklić.

— I tej wartości nie widzi pan już nie-

stety, w dzisiejszym pokoleniu kobiet? — westchnąłem z melancholią.

— Tego nie chciałem powiedzieć! Pan jest strasznie porywczy w wyciąganiu wniosków.

— A cóżby pan chciał na ten temat powiedzieć?

— Uważam, że nie mam prawa zabierać w tej materji głosu z chwilą, kiedy nie biorę już czynnego udziału w życiu społecznym. Nie mam wystarczających danych, któreby mi pozwoliły wygłosić taki czy inny sąd.

— Może się uda z innej strony — pomyślałem.

— A nie przypuszcza pan, że bardziej ograniczone możliwości ekspansji seksualnej wpłynęły we wspomnianym okresie na sublimowanie się popędu w kierunku ideałów społecznych — zaryzykowałem z potulną miną pytanie.

— Nie wiem. Kobieta jest w zasadzie skłonna do poświęceń, jeśli w tej idei została wychowana. Przypominam sobie, że te,

które były wielkie poświęceniem, miały życie seksualne też dość bujne. Nie sądzę, żeby się trzeba było uciekać aż do tak materialistycznych interpretacji, jak pańska. Zresztą decydująco może na to pytanie odpowiedzieć tylko nauka.

— Więc wychowaniu przypisuje pan zasadnicze znaczenie...? — rzekłem w zamyśleniu.

— Jako pedagog przyzna mi pan chyba rację. Lecz skoro na te tematy zesłaliśmy skorzystam z okazji i ja teraz pana zapytam, czemu przypisać, że nasze dzieci żyją w takiej niezgodzie z ortografią. Za moich szkolnych czasów rzadko trafiały się błędy, które dziś w zadaniach piątoklasisty są na porządku dziennym.

Rozmowa zaczęła wyraźnie schodzić na śliskie tory. Umywając tedy ręce jak Piłat, i jak Piotr zapałszy się mojego potrójnego dyplomu polonistyki, odrzekłem:

— Nie wiem, nie wiem. Trzebaby się o to spytać jakiegoś polonisty.

Stefan Essmanowski.

KATARZYNA MANSFIELD

„LISTY“

Przekład MARJI GODLEWSKIEJ

Niniejsze listy są fragmentem drugiego tomu „Listów“ Katarzyny Mansfield, które wkrótce się ukazą.

Katarzyna Mansfield, słynna nowelistka angielska, zmarła w 1923-im roku na gruźlicę, mając lat 34. Korespondencja, wydana po jej śmierci przez męża jej Johna Middletona Murryego, jednego z najpoważniejszych obecnie angielskich krytyków literackich, stanowi niezmiernie ciekawą autobiografię i nie tylko nie ustępuje nowelom ale nawet je przewyższa. Listy, pisane bardzo szczere, osłaniają indywidualność pełną kobiecego uroku, serce odczuwające głęboko wszelkie przejawy życia tak gorąco ukochanego przez Katarzynę Mansfield i niepowzedni hart ducha, którego nie złamało ciężkie położenie materialne, ani długotrwała choroba. Całość korespondencji tworzy jakby „wie romancée“ autorki, napisaną z werwą i nieporównanym wdziękiem, zawiera przytem sprostowania i uwagi, które zadziwiają głębią i mądrością. (przypisek tłumaczkii).

Do J. M. Murry'ego. „L'Hermitage“ Mentona. Środa. 21 stycznia 1920-go roku.

„Ucieklam. Wiesz co to znaczy? We Włoszech jest strajk pocztowy; ani listów ani telegramów. Nic nie puszcza. Jest tak że strajk kolejowy a od dziś strajk samochodów. Przemknęliśmy się okólną drogą, omijając policję...“

Wydostałam się z piekła samotności, skończyłam ze straszliwym śpiewaniem w nocy, z osamotnieniem i lękiem. Prawdę powiedziawszy, zdaje mi się że byłam warjatka, ale to prawdziwą warjatką, w lekarskim znaczeniu tego słowa. Wielka, groźna chmura wisiała nademną... Niemal mnie to zabiło. Tak. Kiedy dziś J. uściśliła mnie, plakaliśmy obie. Miałam wrażenie, że przesłałam przez jakieś okropne, śmiertelne niebezpieczeństwo i uniknęłam go — tonęłam i została uratowana, czy coś w tym rodzaju. Nie możesz zrozumieć, to niemożliwe żebyś zrozumiał, czym była samotność kiedy znowu wyjechałam, a ja znowu zachorowałam...“

Jeżeli tu nie wydobrzeję, to już nigdy nie wrócę do zdrowia. Po podróży czekał na mnie pokój — obszerny, duży, śliczny, o czterech oknach, wychodzących na rozległe ogrody i na góry — cudowne kwiaty, herbata z grzankami, z masłem i miodem, uroczą służącą, i te dwie miłe, kochane kobiety, które przywitały mnie, przyniosły dzienniki, książki, i t. p. Tu jest doprawdy świetnie pod każdym względem. Dwóch doktorów na miejscu. Czystość prawie nieziemską. Wydaje mi się, że jestem motylem i pragnę tylko wachlować się skrzydełkami na kanapie, na krzesłach... Mam duże biurko z kryształowym kalamarzem, kosz do papieru, wazon pełen fiołków i twoje anemony. Bardzo miła Francuzka jest zarządzająca; zajmie się mną troskliwie i dopilnuje aby nie zaszła żadna zmiana... Widziałam także coś w rodzaju pielęgniarki biało ubranej, była tu właśnie i powiadomiła mnie, że w nocy przychodzi na dzwonek. Miło na

nią popatrzeć — trzeba będzie w nocy zadzwonić.

Ucieklam z pod upiornej chmury. Wszystko się odmieniło. Jestem wśród ludzi, otoczona opieką. Czuję się inną osobą. Mam doprawdy inne oczy, inne włosy. Ogród jest wspaniały, a w nim duża łaźnia ogrzewana. Co o tem wszystkim myślisz?

Do J. M. Murry'ego. Mentona. Niedziela 25 stycznia 1920-go roku.

...C. przysłała mnie wczoraj odwiedzić, przyniosła pekińczyka-szczeniątka. Czy widziałeś kiedy takie niemowlę, wielkości fustrzanej rękawiczki, pokryte jasnym złotym puchem, z łapkami jak miniaturowe młode foki, z uszami jak smażone kartofle i wielkimi zuchwałymi oczyma? Miły Boże! co za stworzenie! To szczeniátko jest doskonałym uzupełnieniem Winga. Musimy dostać takiego pieska. Niema z niemi kłopotu, nie są popsute ani wymagające; jakby zwierzęta z bajki. Małństwo usiadło mi na kolanach, wymyło bardzo starannie obie moje ręce, wypolituowało paznogie, potem ostrożnie odgrzyło każdy palec z osobna, wreszcie wyczerpane i napełnione, mając w brzuszku 10 palców, westchnęło głęboko, skrzyżowało przednie łapki i zaczęło przysłuchiwać się rozmowie. Żywi się befsztykami i kostkami cukru, a towarzyszem jego życia w domu jest niebieski atlasowy pantofel. Błagam o takiego pieska do Heronu...“

Wczoraj byłam na dole na drugim śniadaniu i na obiedzie. Dostałam się tu przez pomyłkę — jestem jedyną zdrową istotą. Kiedy weszłam do „salle à manger“ miałam uczucie, że wszystkie głowy podniosły się i wszystkie nosy weszły wchodzącego lwa, sprężonego do skoku. Ci ludzie nie robią wrażenia chorych! Wyglądają zupełnie jakby zmarłych wstali, wyszli z trumien i zasiedli „pour la première fois“ do jedzenia. Mają mizerne, rzadkie włosy, zimne, przerażone oczy, ręce jakby z wosku i takie chude!! Dosłownie kije. Zatracili wszystkie wdzięki i uroki i dotąd ich nie odnaleźli. Są jeszcze wciąż istotami bez płci; wycierają nosy ni to po męsku ni to po kobiecemu. Na stolach spoczywają dowody i godła ich choroby — butelki i pudełka. A gdy spojrzalam na jedną z kobiet, doznałam wstrząsu; miała przy sobie „réchaud“ i podgrzewała wszystko, nawet talerze. Tam — z łaski Pana Najwyższego — wkroczyła Wig. Oczywiście kelnerki odbijają na tle tej atmosfery. Dwie ładne dziewczyny o rozwiniętych piersiach, w pończochach jak z pajęczyny, w wysokich sznurowanych bucikach, i małych, subtelnych, prawie nieuchwytnych fartuszkach; szyje mają napudrowane, czerwone usta, pachną perfumami, a poruszają się jak baletnice, sunąc i ślizgając się po wyfrotowanych posadzkach, w całym rozkwicie swej młodości i siły. To wszystko mocno miławi...“

Nigdy już nie odsunę się od życia. Nie mam żadnych iluzji, kochanie. Wiem wszystko o życiu; i naprawdę nie jestem niemożliwym co gaworzy a'ga ago, ale mimo wszystko czuje, że „il y a quelque chose“... tem żyję, to uwielbiam i to mi raduje. Je-

śli się jest taką jak Wig trzeba wciąż dawać, wciąż otrzymywać, zmieniać szerść, odradzać się i dociekać. Przypuszczam, że według ciebie moje poglądy są dzieciństwem oprawnem w ramki z perełek i kolorowych kamieni — ach, wszystko jedno, to nic ważnego! Ważnem jest to, że umrę o ile nie pokażę ci tych żonkili i bławatków. (rysunek doniczki z kwiatami).

Dziś pochmurno. Ale to nic nie szkodzi. Krajobraz ślicznie wygląda w tem świetle; nie tak jak morze. Mimozy — wielkie pęki mimoz — duże drzewa obsypane pomarańczami. Na dworze młodzi chłopcy odbywają musztrę. „Sergeant-major“ powtarza: — „T'ois cinquante, n'est-ce pas?“ — i jakaś strasznie smutna trąbka się odzywa.

Moja „femme de chambre“ opowiedziała mi następującą historję. Proszę cię abyś ją przeczytał.

— „Czy pani wie „que les fleurs sont trop fortes“ aby je zostawiać „dans la chambre pendant la nuit, et surtout les jones“. Postawię je „sur le balcon“ — n'est-ce pas?“ — a jutro rano je wniosę? Vous savez, quand ma petite mère était très jeune, elle était la maitresse d'une petite école pour les tout petits enfants. Et pour son jour de fête les bébés lui ont apportés un bouquet enorme, grand comme un chou, rond comme ça, Madame — de ces jones. Elle les a mis dans sa chambre à coucher. C'était un vendredi. Le soir elle s'est endormie — et puis tout le samedi, le dimanche, jusqu'au lundi matin elle dort profondément. Quand les petits élèves sont arrivés le lundi, la porte était fermée. Ils ont frappé. Pas de réponse. Enfin, mon père, qui n'était pas mon père à ce temps là — est venu alors du village et il a forcé la porte et voilà ma mère — qui n'était pas ma mère ni même mariée à ce temps là — toujours dans un sommeil profond, et l'air était chargé du parfum de ces jones qu'elle a mis sur une petite table près du lit...“

Czy ci się podoba to opowiadanie? Czy wyobrażasz sobie dzieci, które zaglądają trzymając paluszki w ustach, a nitki człowiek znajduje ją „blanche comme une bougie“, i ten pokój, i te kwiaty? Może to trochę sentymentalne, ale mnie się podoba. Widzę śmieszne baki w skampekach i dużych beretach trzymające tornistry.

Do J. M. Murry'ego. „L'Hermitage“ Mentona. Luty 1920-go roku.

„Sprzedałam moją książkę. Czy możesz ich poprosić, aby czek przysłali do mnie? To dzieciństwo. Ale chcę ten czek widzieć na własne oczy i własnymi rękoma wysłać go do banku... Wracając do książki — przypuszczam, że ostatnie słowo będzie należało do mnie; „par exemple“ nie chciała, bym zamieścić w tym tomie „The woman at the store“. Byłoby źle, gdyby Constable miał o tem decydować... I pragnę aby dołączyło do tego zbioru nowelę, nad którą teraz pracuję: „The second Helping“...“

W najbliższej przyszłości nastąpi znowu zmiana. Nic ci nie mówiłam ale to niemożli-

wie hałasują, a ja jestem wrażliwa, och! bardzo wrażliwa, na hałas; boli mnie prawdziwie. Trzaskają moimi drzwiami, trzaskają innymi drzwiami, krzyczą, wrzeszczą. Nie mogę tego znieść, nie mogę pracować ani spać. Doktor proponował mi „une forte dose de véronal“. Dziękuję. Ale to naprawdę przykre. Wspominałam J. o hałasach. Przyszła któregoś dnia, kiedy mi to szczególnie dokuczycie, a dziś zajechała powozem, przewiozła futra, jedwabne poduszki i zabrała mnie do ich willi. Tam jest doprawdy ślicznie i wewnątrz i zewnątrz. W ogrodzie stała „chaise-longue“, małeńka tacka z czarną kawą w srebrnym imbryczku, Grand Marnier, papierosy, bukietek fiołków, wszystko było przygotowane. Potem poszliśmy na herbatę. Willa jak marzenie. Chcę powiedzieć, że jest przesłicznie urządzone: jedwabne hiszpańskie koldry, włoska porcelana, przesłiczny serwis do herbaty, spokój, służące w małych muslinowych fartuszkach biegają po dywanach... i t. d. Zaproszły mnie do srebrnoszarego pokoju z balkonem, wychodzącym na południe: jedyna kolorowa plama, to mała kanapka ze złoceniemi nogami, kryta różowym adamaszkiem. J. powiedziała: — „A teraz, kochanie, chcemy abyś się sprowadziła do nas i z nami zamieszkała. Głucha cisza u nas panuje. Jeśli zechcesz, możesz być cały dzień sama. Masz ogród i my tu jesteśmy... Pobędziesz z nami do maja. Musisz wyzdrowieć. Nie powinnaś walczyć ani widywać brzydkich ludzi, ani jadać na brzydkiej zastawie“. — Potem roześmiała się i dodała: — „Bóg oddał cię w nasze ręce i wyleczymy cię przy boskiej pomocy“. — Co o tem myślisz?... Dlaczego one to robią? Dlaczego J. mówi: — „Będę o ciebie spokojna, kochanie. Będę wiedziała, że ci nic nie grozi“? To tak jakby matka do mnie wróciła. Tak mi jej brak! Często pragnęłam oprzeć się na niej i wiedzieć że mnie rozumie... że zrozumie to czego nie można wypowiedzieć... rzeczy które rozwiłoby tchnienie... nieuchwytnie potrzeby... uczucia subtelne i łagodne. Mama nie rozumiała tylko pracy.

Do J. M. Murry'ego. Mentona. Luty 1920-go roku.

Jest najcudowniejsza wiosna — nawet bardzo gorące lato. O godzinie 1.30 zajeżdża zwykle duży samochód, (wstajemy wówczas od kawy i likierów, które pijemy na balkonie). May czeka aby mi pomóc się ubrać, wkładam czyjś płaszcz — czykolwiek — wsiadamy do samochodu, gdzie są szale, poduszki, stołeczki (wczoraj był również kosz z zapasami) i jazda. Pojechaliliśmy wczoraj do La Turbie; leży wysoko, wysoko, na samym wierzchołku gór. Jest to małeńkie starorzemiejskie miasteczko, niewiarygodnie stare, widać jeszcze resztki kolumn i kapiteł. Ach, jak tam ślicznie! Droga, którą jechaliśmy wije się i kręci naokoło gór. A ja na wszystko patrzyłam — dla ciebie, tęskniłam — za tobą, pragnęłam — ciebie. Rozmarzany kwitną (to nasz kwiat), i migałowe drzewa białe i różowe, i dzikie czereśnie, i jabłonie okryte pierwszą bielą, a dzikie hiacynty i fiołki wysypały się z kosza Flory i są wszędzie; nad wszystkim zaś górują — jak światło — pomarańcze i cytryny. Widziałam conajmniej dwadzieścia naszych domków. Wiem że nigdy w nich nie zamieszkały — ale są naszą własnością — małe domki z tarasami i werandami — z kwitnącymi polami fasoli i jasnymi anemonami rozsianymi w ogrodach. Kiedy wydostał się na szczyty gór, wysiedliśmy i położyliśmy się na trawie, patrząc w dół — na doliny i na Monaco... Pani D., Amerykanka, leżała nawznak pałac papierosa. J., wiecznie ruchliwa, wałęsała się wokoło: słychać było jej śpiew, nie mogła usiedzieć, a C. (naturalnie) rozpalowała kosz, nakarmiła nas, napoiła nas śmietanką, a następnie podarowała ciastka dwojgu śmieszny dzieciom, które patrzyły na nas z skały. Siedzieliśmy tak ze dwie godziny a potem zjechaliliśmy inną drogą do Monte. Światło i cień stały się równomierne na górach, powietrze było przepojone słońcem, morze miało kolor mocno różowy a wielki bład księżyc wschodził nad Bordigherą. Wróciliśmy do domu o 6.30. W moim pokoju palił się ogień na kominku — stało gorące mleko, łózko było posłane, May czekała, aby mnie rozebrać. — Czy pani dobrze się bawiła? — Wyobrażasz sobie taki powrót do życia?

WŁADYSŁAW
BUCHNERDWA NIEZNANE LISTY
CONRADA KORZENIOWSKIEGO

J. CONRAD KORZENIOWSKI

Rodaka naszego, Józefa Conrada Korzeniowskiego, słynnego angielskiego powieściopisarza, piszącego w Anglii pod nazwiskiem „Joseph Conrada”, wojna światowa zaskoczyła w Polsce, dokąd wybrał się na wycieczkę z żoną i z dwoma synami. Wycieczkę tę opisuje on w artykule pod tytułem „Poland revisited”, помещonym w roku 1914 w „Daily News”. W rzezonym artykule znajdujemy następujące szczegóły, które tu podajemy w przekładzie:

„Kraków — to miasto, gdzie spędziłem z ojcem ostatnie ośm miesięcy jego życia. Tam, w tym starym królewskim i akademickim grodzie, przestałem być dzieckiem i przedzierzgałem się w młodzieńca, zawarłem przyjazne związki, powziąłem pierwsze uwielbienia, myśli i oburzenia tego wieku. Wśród tych historycznych murów zacząłem rozumieć istotę spraw, kształtować swe uczucia, gromadzić obfitość wspomnień i zapas wrażeń, z których pomocą przedsięwziąłem gwałtowne zerwanie, rzucając się w byt zgoła niezależny”.

Z Krakowa, Conrad Korzeniowski udał się do Zakopanego, gdzie grono życzliwych mu ludzi, ze Stefanem Zeromskim na czele, ułatwiało pobyt jemu i jego rodzinie, starając się jednocześnie o możliwość wyjazdu do Wiednia dla tego obywatela państwa wrogiego Austrii. Starania zostały uwieńczone dobrym skutkiem i w październiku 1914 roku Conrad Korzeniowski, zaopatrzony w listy polecające do wybitnych Polaków, zjawił się w Wiedniu i zamieszkał w hotelu „Matschakerhof” przy ulicy tejże nazwy.

Wśród listów polecających był list od znanego działacza krakowskiego adwokata dr. Teodora Koscha, do niemniej wybitnego społecznika, pana Marjana Bilińskiego w Wiedniu, brata Leona Bilińskiego, ówczesnego wspólnego ministra Skarbu Cesarstwa Austrijskiego, oraz prezesa Koła polskiego i Naocznego Komitetu Narodowego.

Pan Marjan Biliński, którego wpływy w Wiedniu zarówno osobiste, jak i wynikające ze stanowiska brata ministra, były znaczne, zaczął czynić wszelkie możliwe starania, ażeby Korzeniowskiemu i jego bliskim umożliwić opuszczenie Austrii. Starania te ciągnęły się przez kilka tygodni. Wynik był dodatni. Korzeniowskiemu udzielono pozwolenia na wyjazd z rodziną do Włoch, skąd mógł udać się morzem do Anglii. Podczas częstych rozmów p. Marjana Bilińskiego z Korzeniowskim, ten ostatni wyraził chęć służenia swej polskiej Ojczyźnie. Rzekł on to, w słowach następujących:

— Chciałbym z całego serca wykonać po powrocie do Anglii, swój obowiązek Polaka i służyć czem będę mógł narodowej sprawie polskiej. Rozmawiałem na ten temat z kilkoma osobami, nikt nie mógł mi jednak wskazać drogi właściwej. Może pan to uczyni?

Pan Marjan Biliński wskazał mu tę drogę.

— Ma pan, powiedział, rozliczne stosunki wśród angielskich dziennikarzy i literatów, niech je pan wyzyska dla sprawy polskiej. Niech pan wpłynie na swych przyjaciół i znajomych, ażeby zaczęli pisywać o Polsce i o potrzebie zasklepienia ran, które zadały naszej nieszczęsnej, wspólnej Ojczyźnie rozbiory i wiekowa niewola.

Korzeniowski uchwycił się z prawdziwą radością tej wyśli p. Marjana Bilińskiego, zaznaczając przytem, iż jest ona dla niego o tyle ułatwioną, ponieważ w jego siedzibie pod Londynem odbywają się co pewien czas zebrania literacko-dziennikarskie za przyjaźnionych z nim osób.

W drugiej połowie października 1914 roku Korzeniowski, zaopatrzeni w odnośne pozwolenia władz austrijskich, opuścili Wiedeń, kierując się do Włoch. Zatrzymali się w Genui i stamtąd datuje pierwszy list Korzeniowskiego do p. Marjana Bilińskiego. Pieczętka pocztowa na kopercie głosi: Genova 24. X. 14; adres napisany w języku niemieckim, brzmi: Hochwolgeboren Herrn Hofrat M. von Biliński IV Schleifmühlgasse 19 Wien z dodaniem włoskiego słowa: Austria.

Dosłowna treść listu jest następująca:

Genova. 24 Oct. 1914. Szanowny Panie. Znaleźliśmy niespodziewaną okazję wyjazdu jutro na Hollenderskim okręcie. Spodziewamy się być w domu za jakichś dni dwanaście. Będę pisał wkrótce po powrocie na ręce Signor Ing-re Enrico Ruberl, via Canova 36 Milan. P. Ruberl jest poddanym austrijskim i agentem handlowym p. Konst. Buszczyńskiego. Osoba godna zaufania. Pozostaje łaskawy Panie z najwyższym poważaniem. K. Korzeniowski.

Istotnie Korzeniowski, a właściwie o węż chwilę „Josephowie Connadowie” wyjechali z Genui na statku holenderskim do Anglii, drugi list bowiem, a zarazem i ostatni do p. Marjana Bilińskiego, napisany jest na pokładzie statku „Vondel”. Koperta i papier są ze znakami Holenderskiego Towarzystwa Okrętowego.

Na kopercie widnieją w monogramie 3 litery S. M. N. Są to pierwsze litery nazwy Towarzystwa Przewozowego, na którego statku Korzeniowski odbywali podróż.

Pieczętka pocztowa głosi: Amsterdam 11. XI. 1914. Adres również w języku nie-

mieckim z trzema słowami francuskimi Hochwolgeboren Herrn Hofrat M. von Biliński à Vienne Autriche.

Ulica nie została podaną i poczta w Wiedniu dopisała z boku na kopercie Schleifmühlgasse 19. Uderzające są dwa błędy w obu adresach. W pierwszym i w drugim liście, zamiast Hochwolgeboren, pisze Korzeniowski Hochwolgeboren, czyli gubi literę „h”, w drugim liście, zamiast Autriche, pisze Autiche, czyli gubi literę „r”.

Papier listowy, jak już rzekłem, okrętowy, nosi z boku ten sam, co i koperta monogram, u góry zaś nadruk: Stoomvaart Maatschappij „Nederland” a/b S. S. „Vondel”, co przetłomaczone na język polski znaczy: Towarzystwo Okrętowe „Nederland” na pokładzie statku „Vondel”. Słowo „Vondel” napisane jest ręką Korzeniowskiego, zaś „Maatschappij” jest skrótem słowa holenderskiego Maatschappij, wymawia się Matszappaj.

Dalej idzie tekst.

9. Nov. 1914. 2 po połud.

Szanowny Panie. Za parę godzin będziemy już na lądzie i zaraz weźmiemy pociąg do Londynu. Jutro już postaram się zobaczyć parę wpływowych osób w świecie dziennikarskim. Mielśmy bardzo piękną przeprawę ale pomimo to, jakoś nie bardzo dobrze się czuję. Za to żona i moi chłopcy wyglądają świetnie. Będę prosił komisarza okrętowego by list ten rzucił na pocztę w Hollandji; chodź mi o to żeby pan wiedział, że nie zamierzam sprawy zasympiać. Spędzimy w Londynie może cały tydzień właśnie dla tego żeby się z ludźmi zobaczyć i rozmówić a także i rozpatrzyć się w sytuacji.

Z wyrażeniem serdecznego szacunku, wierny K. Korzeniowski.

Zastanówmy się teraz nad jednym i drugim listem. Czem one do nas przemawiają, dziś z odległości dwudziestu lat? Po pierwsze dziwić się należy, iż człowiek, który w ciągu 40 lat przebywania na obczyźnie załedwie dwukrotnie odwiedził Polskę, (w roku 1890 i 1894) tak doskonale władał jeszcze językiem polskim. Nie brak mu słów do wyrażenia myśli, oprócz nazw miesięcy, gdyż zamiast października i listopada pisze Oct. Nov.

Dalej co do treści listów. Korzeniowski żywił szczerą intencję rozwinięcia polskiej propagandy patriotycznej w Anglii, (co zresztą uczynił artykułami pióra własnego w znanym miesięczniku londyńskim „Fortnightly Review”). Wynika to ubocznie z treści listu pierwszego, gdzie wskazany jest człowiek zaufania za pośrednictwem którego rad był korespondować z p. Marjanem Bilińskim, a już tembardziej z listu drugiego, gdzie wprost jest wskazane, iż natychmiast po przybyciu do Londynu zaczął działać i zatrzyma się tydzień w stolicy Anglii specjalnie, z myślą, ażeby nawiązać kontakt ze znajomymi dziennikarzami, celem agitacji.

W chwili pisania tych listów „Joseph Conrad” rzucił z siebie powłokę angielską i stanął przed nami, jako syn Apolla Nałęcz Korzeniowskiego, patrioty i zesłańca z roku 1861 za sprawę ojczystą. W kończącym drugi list słowie „wierny” tkwi cała symbolika listów, które dzisiaj przedstawiam i które ukazują nam prawdziwe oblicze Polaka Józefa Conrada Korzeniowskiego, pisarza którego prace, wydane po angielsku, pod przybranym nazwiskiem „Joseph Conrada” pozdzwia świat.

Jak wyżej zaznaczyłem Conrad Korzeniowski odbył podróż z Genui do Londynu na statku holenderskim „Vondel”. Jest to dziwny zbieg okoliczności, iż jednego z najslawniejszych pisarzy współczesnych wiódł do przybranej Ojczyzny statek o nazwie ku czci jednego z najslawniejszych pisarzy 17-ego wieku. Jost van der Vondel, urodzony w roku 1587, zmarły w 1679 był pisarzem niderlandzkim i uważany jest w Hollandji do obecnej chwili za największego narodowego dramaturga i poeę.

Zaden ze współczesnych mu pisarzy, nie mógł się z nim porównywać, co do wielostronności, siły, wzniosłości, pełności stylu i głębi myśli. Jego tragedia „Gijbsbrecht von Aemstel” jest grywaną od roku 1638 corocznie w jednym z teatrów amsterdamskich i to stale dnia 3 Stycznia, to jest w dniu pierwszego przedstawienia. Jego poemat „Lucifer” jest uważany bez przerwy za ostatnie słowo tego, co geniusz poezji niderlandzkiej dał narodowi.

Przypadkowem zrządzeniem losu dwa te wielkie nazwiska: Vondel i Conrad Korzeniowski, złączyły się chwilowo, podczas powrotu naszego słynnego rodaka z prawdziwej Ojczyzny do przybranej.

Stoomvaart M^o „Nederland”

a/b S.S.

Vondel

den 9 Nov 1914

2 po połud

Szanowny Panie

Za parę godzin będziemy już na lądzie i zaraz weźmiemy pociąg do Londynu. Jutro już postaram się zobaczyć parę wpływowych osób w świecie dziennikarskim. Mielśmy bardzo piękną przeprawę ale pomimo to, jakoś nie bardzo dobrze się czuję. Za to żona i moi chłopcy wyglądają świetnie.

Handwritten version of the letter, written in cursive, matching the typed text above.

Facsimile listu Józefa Conrada Korzeniowskiego do p. Marjana Bilińskiego (ze zbiorów red. Wł. Buchnera)

W numerze 33 PIONU rozpoczynamy druk niewydanego dotychczas po polsku dzieła Conrada:

„ZWIERCIA DŁO MORZA”

W kolejnych numerach ukazywać się będą poszczególne rozdziały, z których każdy stanowi odrębną całość.

ANIELA ZAGÓRSKA

W NAJROMANTYCZNIEJSZYM MIEŚCIE ŚWIATA

Edynburg, Szkocja. Wobec tego miasta, tego kraju, czuje się dotkliwie ubóstwo przymiotników i określeń; chciałoby się stworzyć jakieś nowe słowa, nieużyte jeszcze i nie wytarte, któreby mogły oddać piękno naprawdę czarodziejskie. To było pierwsze moje wrażenie. Ale po jakimś czasie przyszła refleksja. Przecież trafność i siła opisu, umiejętność przekazania innym tego co się czuje, polega nie na sa-

pasmem najdziwniejszych przygód. Opuścił kraj, mając lat szesnaście, i tułał się po świecie. Najdłużej przebywał w południowej Ameryce wśród pampasów; jakiś czas utrzymywał się z handlu bydłem i mułami. Ożenił się z Chilijką, a raczej z Hiszpanką z rodziny dawno w Chili osiadłej, pamiętam jak Conrad opowiadał mi w Zakopanem, że pani Cunninghame Graham (obecnie już nie żyjąca) jest autorką pięk-

skiej „O międzynarodowości w literaturze” odsunęła się od bieżących obrad i wydała się nam jakby oazą, mirażem... P. Parandowski w mowie wybitnie sympatycznej, pełnej obiektywizmu i mądrości, zajął się pisarzami sowieckimi. Stwierdził, że ci pisarze zaczynają osiągać dla swych dzieł tę wolność, którą P. E. N. uważa za warunek zasadniczy dla zawodu pisarza. Wreszcie p. Parandowski wyraził życzenie, aby

E. N. i jakim mistrzostwem wykazał się w organizacji.

Gdy wyraziłam swój podziw pułkownikowi H. L. Warden (nie mającemu zresztą nic wspólnego z literaturą), generalnemu sekretarzowi komitetu organizacyjnego, odpowiedział z uśmiechem:

— Proszę pani, przygotowaliśmy się do tego zjazdu przez dwa lata.

Dwa lata wytrwałej, systematycznej pracy! Szkoci postawili sobie cel niebywały; chcieli nam pokazać swój kraj i siebie, swoją indywidualność jako narodu, swoją kulturę, swego ducha. I udało im się to w całej pełni.

Różnicę między Szkotami a Anglikami odczuwa się już przy pierwszym zetknięciu; Szkoci są naogół bardziej serdeczni, bezpośredni. Zaznaczają przy każdej sposobności, że stanowią oddzielny narodowy organizm. Ilekroć raz upominano mię w rozmowie: „Niech pani nie mówi angielski (handel, dajmy na to); niech pani mówi: brytyjski”. Było to przypomnienie, że Szkoci stanowią samodzielną grupę narodową w brytyjskim imperjum. Bardzo są na tym punkcie drażliwi.

Odrębność Szkotów zaznacza się najjaszawiej w tańcu i śpiewach; ze zdziwieniem odkryłam w nich coś pokrewnego polskim ludowym tańcom i piosenkom. Szkocki „reel” ma wiele wspólnego w rytmie z polskim tańcem góralskim; odczuwa się, jakby pokrzykiwania tańczących przypominały nasze: hu, ha! Także wojenny taniec szkocki, „taniec miecza”, podobny jest do góralskiego tańca zbrojników. Szkoci, którzy byli w Zakopanem w czasie warszawskiego zjazdu P. E. N.-u, także to zauważyli. Przekonałam się niejednokrotnie, że nie tylko szkocki delegaci bardzo mile nasz zjazd wspominają.

Do Polaków odnoszą się Szkoci z dużą życzliwością. Wiedzą o nas znacznie więcej niż naprzykład Anglicy; przetrwała wśród nich tradycja dawnych polsko-szkockich stosunków. Pamiętają przede wszystkim, że Klementyna Sobieska, wnuczka króla Jana, była matką księcia Karola Edwarda Stuarta, tak zwanego Prince Charlie, ulubionej szkockiej postaci historycznej. Wyznają w pokorze ducha, że nigdy nie słyszałam o Prince Charlie ani o jego polskich koligacjach. Ale nauczyli mnie tego Szkoci. Najmniej z dziesięć osób mówiło mi o tym księciu, przyczem któraś z nich oświadczyła:

— Całą rycerską fantazję, całą romantyczność zawdzięcza Prince Charlie swojej polskiej krwi.

Kiedy byliśmy na śniadaniu u Sir Roberta i Lady Gilmour, w ich wspaniałej rezydencji pod Edynburgiem (pałac z początku XVI wieku, zamieszkały od tamtych czasów przez rodzinę Gilmourów), pan domu — który jest zamiłowanym ogrodnikiem i hoduje cudowne kwiaty — zaprowadził nas do gabinetu sąsiadującego z salonem i pokazał dziecinny portret z XVIII wieku, mówiąc znacząco:

— Prince Charlie w wieku lat czterech.

Muszę doprawdy powiedzieć, że zachwycałam się nie tylko Szkocją ale i Szkotami w ciągu tego tygodnia spędzonego w ich kraju. Zetknęłam się z nimi dość blisko, gdyż i w Edynburgu, i w Glasgow byłam gościem w szkockich domach. Wszyscy uczestnicy kongresu, którzy wyrazili chęć zamieszkania u szkockich rodzin, zostali rozmieszczeni po prywatnych domach, gdzie ich goszczono najserdeczniej. Wyznaczono mi kwatery u Sir Thomasa i Lady Whitson. Myślałam z przykrością o spędzeniu kilku dni wśród zupełnie nieznanymi mi ludźmi, żałując, że dałam się skusić ciekawości — chęci poznania obcego środowiska. Tymczasem okazało się, iż ten pobyt w szkockim domu będzie dla mnie najmiłszym wspomnieniem z kongresu. Lady Whitson, znana poetka pisząca pod swym panięńskim nazwiskiem Mabel Christian Forbes, brała udział w komitecie organizacyjnym zjazdu jako jedna z najczynniejszych jego członkiń. Sir Thomas, doniedawna prezydent Edynburga, położył wielkie zasługi dla miasta, które w swej wdzięczności uczciło go w bardzo oryginalny sposób: postawiono przed domem



Edynburg. Princes Street. Widok na zamek



Most na rzece Forth pod Edynburgiem

mych słowach ale na ich doborze, na ich rozmieszczeniu; trzeba mieć ten magiczny dar — talent; dar zestawiania pojęć i słów w taki sposób, aby najbardziej wyświechtane wyrazy nabrały nowej wymowy.

Powstrzymam się więc od opisów. Stwierdzę tylko, że Edynburg jest istotnie jednym z najpiękniejszych miast świata. Chcąc określić je krótko, powiedziałoby się chyba: najromantyczniejsze z miast. Główna jego ulica, sławna Princes Street, ma podwójne oblicze. Z północnej strony normalny rząd wielkomięjskich domów; z południowej — wąwóz o stokach pokrytych pięknym parkiem i cudownie szarmownie zwanymi kwietnikami. Bezpośrednio za tym wąwozem, na wzgórzu — zamek panujący nad miastem i widoczny z najróżniejszych jego punktów; prastary zamek o potężnej sylwecie, stanowiący integralną część miasta a jednocześnie wywyższony, odsunięty na odległość, która nie dzieli, tylko jakby wyodrębnia, jakby chroni od zbytniego spoufalenia. Gdy wstanie lekka mgła, zamek staje się czemś nierealnym — czarodziejskim zamkiem z bajki. A to piękno mają Szkoci na codzień, przy każdej sposobności, bo Princes Street jest centrem miasta, jedną z jego najważniejszych arterij.

W takich ramach odbył się tegoroczny zjazd P. E. N. klubów, z rzędu dwunasty. Opisywano go już wielokrotnie, wspomnę więc tylko o kilku swych wrażeniach z przebiegu obrad.

Więc — dzień otwarcia: wielka, amfiteatralna sala zapelniona delegatami; na prezydjalnych miejscach H. G. Wells, prezes głównego zarządu; H. J. Grierson, prezes szkockiego P. E. N.-u; tak zwana matka P. E. N.-u, jego założycielka, pani Dawson Scott, i wreszcie osobistość dla mnie najciekawsza: Robert B. Cunninghame Graham, honorowy prezes szkockiego P. E. N.-u, senior współczesnej szkockiej literatury (ma obecnie już osiemdziesiąt parę lat) i zarazem najwybitniejszy jej pisarz — jeden z najserdeczniejszych przyjaciół Conrada, z pewnością człowiek najbliższy mu duchem. Wspaniała jego postać jest idealnym wcieleniem Don Kichota: wysoki, szczupły, szlachetne rysy, siwa, rozwiana czupryna, przyszydzona bródka: Hiszpan wykapany, ani śladu w nim angielskości; przestaje mię to dziwić, kiedy się dowiaduję, że jego babka była Hiszpanką. Po skończonym posiedzeniu zapoznają się z „Don Robertem”, iak go Conrad zawsze nazywał. Rozmawiamy oczywiście o Conradzie. W odpowiedzi na jakieś moje słowa Cunninghame Graham mówi:

— Tak, Conrad czuł, że go rozumiem najlepiej ze wszystkich jego przyjaciół. I ja czulem, że on mię najlepiej rozumie.

Życie Roberta Cunninghame Graham (który jest podobno ostatnim potomkiem królewskiego rodu Stuartów) było jednym

nego żywota św. Teresy z Avili, a poza tem... bardzo szczęśliwie gra na giełdzie. Conrad dodał:

— Skłonność do mistycyzmu często się łączy ze zdolnościami ściśle praktycznymi; święta Teresa z Avili jest najlepszym tego przykładem.

Wracam do kongresu. W drugim dniu obrad Zofja Nałkowska wygłosiła piękny referat „O międzynarodowości w literaturze”. Przemówienie pani Nałkowskiej było w czasie trzydniowych obrad jedynym, które nie zatracowało o politykę i wniosło bezinteresowny ton czysto literackich i intelektualnych rozważań. Tegóż dnia przemawiał prezes polskiego P. E. N. klubu, Jan Parandowski, popierając mądrymi i trafnymi argumentami projekt zaproszenia do P. E. N.-u przedstawicieli literatury sowieckiej. Przytoczę tu słowa korespondenta „Nouvelles Littéraires”, p. Claude Aveline, który tak pisze o wystąpieniach naszych delegatów: „Kongres wysłuchał dwóch doskonałych mów polskich. Mowa pani Nałkow-

skiego rozpatrzył możliwość stworzenia P. E. N. klubu sowieckiego. („Nouvelles Littéraires” z 7.VII 1934 r.).

Odwieczne powiedzenie szkockie brzmi: „Pisze się: Szkocja, czyta się: gościnność”. Każdy z nas, delegatów na zjazd w Edynburgu, musi to uznać za prawdę. Atmosfera życzliwości, serdeczności, ciepła była wprost niezrównana. A przytem organizacja zjazdu wzorowa, przemyślana do najdrobniejszych szczegółów, funkcjonowała bez błędów. Przypomnijmy sobie, że na zjeździe P. E. N. klubów w Warszawie, w roku 1930, gości było niespełna osiemdziesięciu; każdy biorący wówczas udział w komitecie, który zajmował się naszym kongresem, pamięta ile trudu i starań pochłonęła praca organizacyjna. Jeśli sobie uprzytomnimy, że zjazd edynburski liczył około 500 osób, delegatów i gości, że trwał tydzień i miał program niezmiernie urozmaicony, zrozumiemy jak olbrzymiej pracy dokonał szkocki P.



Robert B. Cunninghame Graham

Malował John Lavery

Sir Thomasa ozdobną, pokrytą złoceniami latarnię, zupełnie różną od wszystkich innych. Nie miałam okazji do dłuższych rozmów z mymi gospodarzami, bo w czasie czterodniowego u nich pobytu śpieszyliśmy się wciąż z posiedzeń na wycieczki, z wycieczek na przyjęcia, i nie było czasu na spokojną pogawędkę. Ale ich dobroć i urok wzięły mi za serce i — głównie przez nich — nabrałam dla Szkotów serdecznego uczucia; zrozumiałam, dlaczego Conrad tak Szkotów kochał. Lady Whitson jest gorącą wielbielką Conrada; wszystkie jego książki stoją na półce obok jej biurka.

W Glasgow poznaliśmy Clyde, rzekę o której Conrad często wspomina, jako o kołebce najpiękniejszych, najbardziej ścisłych żaglowców. Clyde posiada rozległe, potężne warsztaty okrętowe, jedne z największych w świecie. Mieliśmy sposobność napatrzeć się i tym warsztatom, i piękną samej rzeki podczas całodziennego wycieczki parowcem po malowniczym, rozgałęzionym ujściu. Deszcz padał bezustanku, był to jedyny dzień wytrwałej niepogody. Leciutka mgła przesłaniała dalsze plany, dodając jeszcze piękną krajobrazowi. Ta rzeka ma urok szczególny; zadrzewione wzgórza schodzą łagodnie ku wodzie, poroszone białymi niemi potokami. Mewy leciały za naszym statkiem, krzyżąc piskliwie. Nadszedł wieczór, wycieczka skończyła się — zbyt szybko.

I oto koniec kongresu. Trzydniowe obrady nie przyniosły żadnych rewelacji, nie uchwalono nic wielkiego. Więc poco było się zbierać? Wydaje mi się, że nie w przeprowadzanych wnioskach leży waga zjazdów P. E. N.'u, ale w zetknięciu się bezpośrednim ludzi ze wszystkich krajów świata, w wymianie poglądów, choćby nie konkretnego z tej wymiany nie wynikało, we wzajemnym „zobaczeniu się na wła-

sne oczy", w stwierdzeniu różnic, w stwierdzeniu podobieństw. A tych ostatnich jest zawsze więcej. Podczas obrad wysłuchałam z prawdziwą przyjemnością mowy chińskiego delegata, inteligentnej, dowcipnej, kulturowej. Ten młody Chińczyk, ubrany w długi granatowy jedwabny chałat, przedstawił się zgromadzeniu jako przeciętny chiński inteligent; „a jednak — zaznaczył z lekkim uśmiechem — wbrew panującemu ogólnemu wyobrażeniu o Chińczykach nie noszę warkocza, nie jestem rozbójnikiem, nikogo jeszcze dotychczas nie porwałem ani nie zabiłem, i nawet nie mogę się pochwalić abym palił opium!".

Na ostatnim znowu przyjęciu w prezydium miasta, w Edynburgu, podziękowanie dla szkockiego P. E. N.'u wygłosił Egipcjanin, przedstawiciel najmłodszego z P. E. N. klubów. W krótkiej mowie, zaprawionej humorem pełnym wdzięku, wyraził serdecznie i dowcipnie wdzięczność kongresu dla jego szkockich organizatorów. „Szkoci — mówił między innymi — słyną ze swej oszczędności. My jednak nie mogliśmy w żaden sposób dopatrzeć się w nich tej cechy. Przeciwnie, stwierdziliśmy u naszych gospodarzy hojność wprost niebywałą". Przemówienie tego młodego Egipcjanina, geografą z zawodu i potrochu polityka, jak się później dowiedziałam, było świetne. Nie mógł znaleźć się bardziej „w kropce". I oto Egipt przestał być dla mnie — a przypuszczam że i dla wielu obecnych — czemś mglistym i nieokreślonym.

W myśl referatu Zofji Nalkowskiej, zbliżenie ludzi polega nie na uświadczeniu sobie różnic, często zewnętrznych, jakie nas dzielą, ale na doszukiwaniu się podobieństw, które są zawsze głębsze i bardziej istotne; oto droga do prawdziwego poznania się ludzi i — co za tem idzie — do pokój-

stycznymi. Na tle współczesnej prozy sowieckiej, której głównym rysem charakterystycznym, jeśli chodzi o formę, jest narracja, „Cuszima" prezentuje się pierwszorzędnie. Można to sprawdzić na opisie bitwy i udziału w niej pancernika „Orzeł", na którym służył autor. Po kolei, od wieży do wieży, od zdarzenia do zdarzenia, od człowieka do człowieka prowadzi nas Nowikow niezmiernie, subtelnie, aby wreszcie rzucić ogólne dobitny na szkic szczegółowy pojedynczych faktów już uprzednio drobniaczko podanych. Specjalnie godna jeszcze raz podkreślenia jest sumienność autora w operowaniu materiałami hi-

stycznymi. Czy potrafił się on wznieść ponad poziom funkcji furiera w ocenie trudnych zagadnień taktycznych i czy jego sądy są w tej mierze słuszne, wyrokować nie możemy. Naszym zadaniem jest podkreślenie wysokich wartości artystycznych tej książki, do czego przyczynił się niemało i tłumacz w osobie Władysława Broniewskiego. Należy zaznaczyć, że „Cuszima" to książka z rzędu dzieł w rodzaju „Na chodzie bez zmian". Pisał ją też szary żołnierz, uczestnik walk, który notując fakty i zestawiając je, wydaje sąd, sąd potępienia, aczkolwiek w naszym wypadku niepozobawiony odcienia dotkniętej dumy narodowej.

Stn.

„KWAŚNIACY"

Pękaty tom tej prozy *) nacechowany jest takim prostactwem formy, jakgdyby autor głęboko przejęty ważnością i patosem życia żenował się poprostu „ubierać" je w „szatę powieściową". Sponiewieranie formy na rzecz treści przypłaciła książka dotkliwie. Nie jest bowiem reportażem, tylko — mimo wszystko — beletrystyczną fikcją. Z drugiej strony wszakże nie stanowi powieści w znaczeniu literackim. Brak w niej dramatycznego kośca, celowego wyboru zdarzeń, charakterystyki typów, przedewszystkiem zaś sugestywności. Tę książkę czyta się jak gazetę, bez przeżywania, bez wrażeń, bez lepszego poznawania rzeczywistości. Gdyby autor pojmował formę jako metodę eksploatowania treści, a nie jako ozdobę, czysto zewnętrzne przybranie — prawdopodobnie pisałby inaczej. W kształcie obecnym „Kwaśniacy" stanowią lekturę przewlekłą, znużającą, co najważniejsza wcale niewymowną.

Jeśli pominąć pewną zmysłowość i obrazowość języka cały wysiłek Drzewieckiego w zakresie sugestii sprowadza się do nadmiaru szczegółów fizjologicznych, wulgarnych małość, którymi jak pieprzem grubo przetrząsnął fabułę „Kwaśniaków". Jest to zresztą w gęście współczesności, holdującej jaskrawemu naturalizmowi. Nawet w poezji brutalność widzenia i relacji ma prawo obywatelstwa i daje niejednokrotnie ciekawe efekty. Niemniej największa nawet ilość grubiaństw nie wystarczy na tęgi utwór. To co autor dostrzeżga w zlewie, łóżku czy we włosach lokatorów Kwaśnej da się opisać bez reszty w kilkunastu zdaniach bez potrzeby budowania grubego tomu.

Wszystkie postacie powieściowe niczem się od siebie nie różnią. Są wyłącznie ciałami głodnymi, brudnymi, nieodczuwanymi, ale zawsze tępem psychicznie, nieomal pozbawionymi psychiki. Można wprowadzić utrzymać, że psychika to zbytek swego rodzaju, że najpierw trzeba coś zjeść i gdzieś mieszkać, że na tym poziomie wegetacji trudno o człowieka. Jednak rzeczą pisarza jest do tego człowieka dotrzeć nie zadowalając się banalnością powierzchownego myślenia i czucia Skrzypków, Futów i Ulicznych.

Biorąc książkę od strony społecznej, dokumentarnej, przedstawia się ona nieciekawie. Bohaterem „Kwaśniaków" jest wprawdzie bezrobotny, ale bez papierów. Zaniedbał się zarejestrować w PUPP'ie. Ponieważ państwo bezrobotnych chroni, przynajmniej zapomogi, zabrania eksmisji w miesiącach jesiennych i zimowych, ostatnio nawet latem — autor swego bezrobotnego zdegradował. Wynikły stąd takie efekty melodramatyczne, jak wyrzucenie z mieszkania na deszcz i chłód, brak miejsca w barakach, powrót na to samo podwórce, z którego się wędrowało po magistrat na plac Teatralny, kłeczenie budy mieszkalnej i t. p. Nędzy jest wiele to prawda i prawda smutna. Ale Drzewiecki pisał o nędzy wyjątkowej a książkę reżyserował tak, jakby obrazowała ona dolę ogółu bezrobotnych, co jest nierzetelne i zakrawa na demagogiczną woltę.

Demagogia to uproszczenie zjawisk, towar tani i pokupny, ale lichy. Weźmy przykłady. Administrator-Zyd idzie z komisarzem na wódkę, dla ułatwienia sobie eksmisji straszy biedaków policją polityczną. Dokonywa się jakaś tajemnicza zмова, nędzarczy otacza społeczeństwo sytych nierobów. Ludzie dzielą się na białych i czarnych, to znaczy tych, co jeszcze coś mają i tych, którzy nie mają nic. Na straży krzywdy stoi posterunkowy. Odnoszę wrażenie, że nawet skrajnie „społeczni" pisarze powinni się

wreszcie wyleczyć z urazu policyjnego. Obarczanie posterunkowego nienawistnymi spojrzeciami przez Kwaśniaków jest zrozumiałe. Ale używanie w beletrystyce granatowego munduru, jako swoistego symbolu reakcji, przymusu i tyranji państwowej, to już doprawdy naiwność.

Sprawa posiadających i nieposiadających jest jak świat stara, bolesna i wiecznie aktualna. Jest zarazem bardzo skomplikowana — co innego stanowi niesienie doraźnej pomocy ofiarom kryzysu, co innego zaś sprawiedliwy podział majątku społecznego. Historja ma w tym względzie doświadczenie niebyłej jakieś a przecie niedostateczne, ostatnio rosyjskiego eksperymentu.

Sprawców piekła rozgrywającego się nad cuchnącymi ściekami przedmieścia nie należy szukać we frontowych mieszkaniach kamienicy, w pobliskiej restauracji, ani w komisarzacie. Ci, co byli wczoraj biedni, jutro w tłuszc porosną, aby cisnąć innych biedaków. Gdy mowa o instynktach, między bezrobotnym Skrzypkiem a restauratorem Sobotką niema literalnie żadnej różnicy. Różnica tkwi w tem, że cham Sobotka trzyma restaurację, a chama Skrzypka na to nie stać.

Książka Drzewieckiego nie wskazuje na pogłębiony stosunek do zagadnień społecznych, ani wysoki obiektywizm widzenia, ani świadczy o gorętszych emocjach pisarskich. Autor nie zdobył się na powiększenie życia ludzkiego w metaforze powieści. Jego „powiększenie" ograniczyło się do zbioru utnapionych szczegółów, których i połowa wystarczyłaby, aby to życie nasycić.

Z. Kucharski

„CUSZIMA"

Treścią tej powieści-pamiętnika *) jest wyprawa drugiej eskadry rosyjskiej na pomoc armjom lądowym, walczącym z Japończykami na Dalekim Wschodzie w roku 1904, zakończona klęską floty imperjum euroazjatyckiego przy wyspie Cuszimie. Była to jedna z dwóch wielkich bitew jakie miały miejsce w biejącym stuleciu, w jego pierwszym ćwierćwieczu. Ale podczas gdy druga — bitwa jutlandzka na Skageraku w dn. 31 maja 1916 r. stoczona między flotami Anglii i Niemiec z wynikiem nierozstrzygniętym — zachowała właściwie główne siły obu mocarstw, pozwalając jedynie wnioskować o takich czy innych wadach i zaletach wrogów, — to Cuszima definitywnie wykażała słabość marynarki rosyjskiej, wypełniając do ostatka kielich klęski, zapoczątkowany zatopieniem w Porcie Artura pierwszej eskadry admirała Makarowa. Taktyka rosyjska w 1904 r. wręcz przeciwnie zasadami się kierowała aniżeli niemiecka w 1916 r. Rosja odważnie sięgała do swych ostatecznych rezerw, aby wygrać, nie oglądając się na nic, działając błędnie i na ślepo. Wszystko to przeplaciła klęską wręcz kapitalną. Niemcy natomiast chowali swą flotę i ochraniali ją z niebywałą pieczołowitością. Nawet tak wielki sukces jak rozbicie eskadry admirała Beatty w pierwszej fazie bitwy jutlandzkiej nie przesłonił bowiem admirałowi Scheerowi rzeczywistości. Pytanie tylko czy Niemcy postąpiły słusznie, bowiem w dwa lata później oddały całą swą wielką flotę bez strzału w angielskie ręce. Po przeszło stu latach bezczynności, po nierozegranej bitwie jutlandzkiej, trudno jest obecnie typować Anglików jako pierwszych marynarzy świata. W każdym razie laur zdobyty w otwartym boju morskim należy ostatnio od lat trzydziestu do floty japońskiej, a jej przeciwniczka — marynarka rosyjska znalazła teraz swojego dziejopisa w zwykłym ówczesnym podoficerze żywnościowym pancernika „Orzeł", a dziś głośnym pisarzu sowieckim Nowikowie-Priboju. Podróż eskadry admirała Rożestwenskigo i bitwa przy wyspie Cuszimie, a więc wypadki

zawierające się w czasokresie dziewięciu miesięcy — oto treść jednej z najpoczytniejszych książek sowieckich.

Z powieści Nowikowa-Priboja, Japończycy wychodzą obronną ręką, nic nie tracąc z tego, w co legenda Claude Farrère'a ich ubrała. Aczkolwiek pokazanych niewiele fragmentarycznie, znajdujemy ich takimi, jakimi winni być w naszych ustalonych od lat sądach: walecznymi, przewidującymi, karnymi. Za to strona rosyjska nie znajduje u autora dobrego słowa, szczególnie jeśli idzie o osobę głównodowodzącego admirała Rożestwenskigo. Wiele kart poświęconych temu flagmanowi technicznie nawiąsiami i pasją, której świeżość po latach niespełna trzydziestu trudno się nadziwić. Padają pod jego adresem najcięższe oskarżenia, największe zarzuty. Jako człowiek, jako oficer marynarki zostaje odsądzony od wszelkiej czci i wiary, poprostu potępiony. Brutalny i dziki osobnik, zarozumiały dowódca, żaden taktyk — oto wódz drugiej rosyjskiej eskadry w oświeśleniu autora. Ale obok admirała widzimy całą flotę rosyjską, składającą się z kilkudziesięciu okrętów i kilkunastu tysięcy ludzi. Jej życie w ciągu tej wielkiej podróży zostało opisane z ogromnym nakładem pracy i studjów oraz talentu, który zasługuje na szczególną uwagę.

Nowikow-Priboj z pochodzenia i stanowiska jest proletariuszem. Jego wrodzona inteligencja i pilność stanowią zasadnicze fundamenty wielkiego talentu pisarskiego. Nowikow-Priboj jest narratorem pierwszorzędny. Plastyka i ciągłość opowiadania tworzą wyjątkowość i mocno związaną całość. Przy opisach autor sowiecki posługuje się przedewszystkiem faktami, które pieczołowicie zebrał i umiejętnie ułożył. Historję zbierania tych materiałów podaje w bardzo ciekawym wstępie malującym stosunki w obozach jeńców rosyjskich w Japonii na tle nastrojów rewolucyjnych. Rzecz charakterystyczna, że fermenty społeczne podane są bardzo stonowanie, powściągliwie, niezwyczajnie taktownie. Są one przez to pozbawione krzykliwej demagogii, ale za to posiadają znamię prawdy, bo są przedstawione jako zaobserwowane rzeczywistości fakty. Tem silniej przemawiają swą autentycznością. Wogóle obiektywizm i spokój cechuje książkę Nowikowa-Priboja bardzo wy-

*) A. Nowikow-Priboj, Cuszima. Tomy I i II. Przełożył Władysław Broniewski. Warszawa, 1934. Tow. Wyd. „Rój". Stron 248 i 201.

*) Henryk Drzewiecki, „Kwaśniacy". Str. 308. Tow. Wyd. „Rój", Warszawa.

*) Lucjan André, „Toast weselny", Warszawa.

J. Miernowski.

Doprawdy! Takich i tak pisanych poematów można produkować bezliku. Tylko poco?

BIALI I CZARNI

Polska literatura podróżnicza jest niesłychanie uboga. Obejmuje pozycje, łatwe do wyciszenia. Cóż więc, jest ona naogół bezbronna, co w samym już niejako założeniu klóci się z pojęciem podróżniczej literatury.

Każda też nowa publikacja podróżnicza, o rzetelnych ambicjach myślowych i walorach literackich, to cenna pozycja, jako przysłowiowe „okno na świat”. Francja i Anglja, posiadaczki rozległych terenów pozaeuropejskich, mają nawet odrębną „literaturę kolonialną”, obejmującą zarówno rodzaj powieściowy, poetycki i dramatyczny.

Świeżo wydana książka Jerzego Giżyckiego o „Białych i czarnych” jest egzotycznym wypadem na teren afrykańskiego życia kolonialnego. Autor usiłuje podjąć ważki i nabrzmiewający dziś z dnia na dzień problem „Europy pozaeuropejskiej”, która w sferę wpływów zagarnia obce kontynenty. Jestto problem niesłychanie złożony. Obejmuje rozległy zasięg spraw, od ekonomicznych i cywilizacyjnych począwszy do najprostszej, konkretnej sprawy stosunku człowieka do człowieka. Doniedawna zagadnienie kolonialne było niemal wyłącznie kwestią polityczną. Pozostało takim do dziś: Francja głodna jest ludzi kolorowych, jako rezerwuaru nadwzrochnych depopulacji sił; Niemcy głodne są przestrzeni; Włochy odczuwają ciasnotę granic; Anglja bez kolonji byłaby rachitycznym tworem kadłubowym.

Zagadnienie kolonialne ma jednak i inne oblicze, które staje się coraz wyraźniejsze i groźniejsze — jako problem humanitarny stosunku ludzi o odmiennej barwie skóry. Bertrand Russell pisze w jednej z swych książek, że każdemu uczciwemu Anglikowi grozi dokuczliwy „kompleks kolonialny”, kompleks wstydu za praktyki brytyjskie w Indjach.

Głos Polaka o kwestji kolonialnej przedstawia szczególną wartość. Relacja jego o Afryce francuskiej ma przewagę obiektywności nad analogiczną relacją Francuza, który bądźco bądź jest przeciw osobą „za interesowaną”. Dlatego też do lektury książki Jerzego Giżyckiego przystąpiłem z dużą dozą ufnej ciekawości i nadziei: bezstronne bowiem oświetlenie mogło być zarazem nowym oświetleniem zagadnienia, tembardziej niepokojącego i groźnego, że jedyną jego dotychczas normą jest prawo siły i przemocy.

Książka Jerzego Giżyckiego przynosi całkowite i przykre rozczarowanie.

*

Początek „Białych i czarnych” znakomity i wiele obiecujący. Opis osobliwego i niepokojącego zjawiska „barre” czyli afrykańskiego piekła wodnego — jest interesującą ekspozycją egzotyki i grozy czarnego ładu. Jednocześnie zahacza autor o zagadnienie stosunku „białych i czarnych”, które powinno było być centralnym zagadnieniem książki zgodnie z jej tytułem i... nadziejami czytelnika. W pierwszym, najlepszym zresztą rozdziale, daje autor odpowiedź na zasadnicze pytanie. Co przyniosła biała cywilizacja czarnemu łądowi? Spustoszenie. Alkohol, syfilis i suchoty. Dla zrozumiałych celów Europejczyk wyhodował w murzynie potrzebę alkoholu, uczynił zeń niewolnika nalogu. Pionierzy kolonialni, materiał ludzki Europy najmniej wartościowy, nierządno wykolejeńczy życiowi i szumowiny społeczne, nieśli nietylko spustoszenie fizyczne ale i kulturalne. Oto wymowny przykład barbarzyńskich praktyk: zabytki wielowiekowej sztuki, megalityczne pomniki sprzed tysiąca lat — rozbijano na kawałki dla brukowania ulic!

Obiecująca zapowiedź, jaką stanowi to konkretne i rzeczowe podjęcie problemu „białych i czarnych” — okazuje się jednak

*) Jerzy Giżycki. „Biali i Czarni”, Wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1934.

w całym dalszym ciągu książki zawodna. Zagadnienie „tytułowe” schodzi na odległy plan, a na przestrzeni trzystu sześćdziesięciu stron, zdarzają się już tylko dorywcze nawroty. Okolicznościowo porusza autor kwestję misjonarstwa, czyli „produkcji czarnych kandydatów do białego raju, sprawę zabójczej biurokracji kolonialnej i barbarzyńskich metod pracy przymusowej, które przy budowie francuskiej kolei Kongo — Ocean wywołały nawet protesty Ligi Narodów. Podczas prac nad tą linią komunikacyjną, która jest chlubą francuskiej administracji kolonialnej, powstało owo wymowne przysłowie: „co podkład kolejowy — to zdechły murzyn”.

Poza temi nielicznymi już nawrotami do problemu kolonialnego, resztę książki wypełnia... autor w roli myśliwego. A więc opisy najróżniejszych polowań — na hipopotama, krokodyla, „zbrojne kaczki” i inne okazy fauny egzotycznej.

Przyczem w zbyt licznych opisach i rozważaniach o myślistwie, niebaczna chyba kontrola tekstu splatała autorowi złośliwego figla. Jakże bowiem pogodzić takie dwie opinie: myślistwo jest „barbarzyńską rozrywką” — głosi stronica 75-ta. A na stronie 95-tej czytamy: „z dużą satysfakcją wyładowują mordercze instynkty. Huk karambiny wydaje mi się rajską muzyką” (!)

Książka Jerzego Giżyckiego grzeszy też pod względem formalnym — zupełnym brakiem konstrukcji. Posiada charakter „odcinkowy”, kolejność luźno powiązanych fragmentów odpowiada jedynie kolejnym etapom podróży autora.

Lekturę utrudniają gęsto, rozsiane i często powtarzane terminy i nazwy afrykańskie. Różne „kup-kup”, „kro-kro”, „kram-kram”, „gri-gri”, „banko” i „kazy” są wątpliwej wartości namiastką egzotyki, a zbyt często przytaczane stają się męczące. Zupełnie natomiast niezrozumiałe i zbędne jest ciągle używane przez autora słowo „kamjon” zamiast ciężarówka.

Józef Szpecht.

T O I O W O

ROZKOSZNY FRANIO

W tygodniku „Bunt Młodych” przegląd prasy prowadzi p. Fr. Czerwiski (czy Czerwiński? — nie wiemy która pisownia jest właściwa, jako że sam „Bunt Młodych” jest w tym punkcie niezdecydowany). P. Czerwiski, jak to się u nas mówi, jest pisarzem „pełnym temperamentu”. Znaczy to, że jest niesmaczny i nonszalancki. Mniejsza. Można by mu to wybaczyć; pisze na ogół dobrze, z zacięciem. Do czegoś dąży, z poza kawałów i wulgarniej nonszalancji wyziera nieraz zdrowy sens, widać myśl porajającą się z trudnościami, pracę mózgu, a nie samego tylko frazesu. Są to wszystko w naszej publicystyce cnoty rzadkie; łatwo też zapomina się i wybacza p. Czerwiskiemu jego niezawsze gustowne harce polemiczne.

Jednak to co nabroił w ostatnich numerach „Buntu Młodych” trzeba wyciągnąć na światło dzienne i zapytać autora, jak on sam, filar „Buntu Młodych”, przekonany i bezkompromisowy (a jakże) katolik to nazwał.

W nr. 58 „Buntu” p. Fr. Czerwiski zarzucił znanemu publicyście Hulce-Laskowskiemu, że ukrywa się pod pseudonimem Jarosza i w tem przebraniu literackim pisuje artykuły bolszewickie. Ponieważ jak wiadomo, Hulka-Laskowski w publikacjach podpisywanych własnym nazwiskiem nie głosi tych poglądów przeto już to jedno oskarżenie — gdyby było prawdziwe — rzucałoby cień na uczciwość pisarską naszego publicysty. Ale p. Czerwiski idzie dalej. Twierdzi mianowicie w tym samym numerze „Buntu”, że Hulka-Laskowski pracuje w piśmie subwencjonowanym przez najsumniejszej pamięci Boussaca, wyzyskiwacza i ciemięzyciela robotników Zyrardowskich. Słowem p. Czerwiski przypisuje Hulce-Laskowskiemu zwykłą nikczemność, wiadomo bowiem, że publicysta ten występuje jako gorący orędownik sprawy robotniczej, w szczególności Zyrardowa. Współpraca w organie Boussaca — gdyby zarzut

NA EKRANACH KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

PANI NIE CHCE DZIECKA

(Kino Majestic)

Pikantny ten tytuł nie kryje sobą pikantnej treści. W tej zrecznie zrobionej komedji tkwi raczej pewien morał, tak popularny we Francji, moralom tym jest propaganda macierzyństwa — wobec grożącego wyludnienia. W okresie kryzysu, zubożenia i powszechnego bezrobocia hasło to brzmi nieprzekonywująco, ale trzeba przyznać, że podane tu zostało umiejętnie. Komedja oparta na dość już wyswiechtanej koncepcji zagrożonego przez przesadną emancypację kobiet małżeństwa obfituje jednak w dowcipne i pełne niewymuszonego komizmu sytuacje. Najśmieszniejszą postacią jest glupkowaty sportmen, organizujący wśród weselnych gości imitację meczu hokejowego w salonie. Bardzo zabawna jest również scena przypadkowej wizyty u dentysty. Fakt, że pogodzenie rozdzielonego przez sportowe manjaktwo małżeństwa zajmuje się była kochanka pana młodego, nie stanowi sobą jak na obyczaje fars francuskich, żadnej niespodzianki.

Wiele filmów francuskich od czasu wystąpienia René Claira nosi w sobie cechy charakterystyczne jego talentu: lekkość, swobodę w operowaniu skrótami, zrecznie wykorzystanie muzyczne sytuacji. Zalety te posiada również w pewnym stopniu film „Pani nie chce dziecka”. Wadą jest zbytnia patriarchalność moralu, zwróconego tak bezapelacyjnie przeciw sportom i małżeństwom koleżeńskim. Gra aktorów nie przekracza przeciętności. Poważnym brakiem widowiska jest fatalny poziom techniczny kopji. Rzecz dziwna, że zagranica obdarza Warszawę zwykłe najgorszymi egzemplarzami, nie licząc się wcale z oczami widzów. Chociaż sezon jest „ogórkowy” widz ma prawo domagać się poszanowania jego wzroku.

Reportaż P. A. T. „Mistrzostwa Sportowe w Warszawie” wykonany jest poprawnie i cęplad się go z zainteresowaniem.

(c.)

„INFORMACJA PRASOWA POLSKA”

Jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-41-53).

POEZJA

Nela Gajzlerówna — Szare wiersze. Warszawa, 1934. Nakładem F. Hoesicka.

Dziela Cyprjana Norwida — wydał, objął i wstępem krytycznym poprzedził Tadeusz Pini. Warszawa, 1934. Nakładem spółki wydawniczej „Parnas Polski”.

POWIEŚĆ, NOWELA.

Halina Brynerówna — Wszystko przede mną. Powieść. 1934. F. Hoesick.

Baruch — Aron Friedman i Soka, Księgarnia Nowoczesna. Przekład z francuskiego Heleny Hellerówny.

Mignon E. Eberhart — Gdy minie zawija. Przekład J. Sujkowskiej. Warszawa, 1934. Rój.

William J. Locke — Wielki Pandolfo. Przekład J. Sujkowskiej. Warszawa, 1934. Rój.

Listy Katarzyny Mansfield. Tom I. Przekład Marji Godlewskiej. Rój.

A. Nowikow-Priboj — Cuszima. Tomy I i II, Przekład Władysława Broniewskiego. Warszawa, 1934. Rój.

L. Rubinstein — Szlak Samurajów. Przekład Haliny Pilichowskiej. Warszawa, 1934. Rój.

Ewa Szelburg-Zarembina — Krzyże z papieru. Warszawa, 1934. Rój.

Wanda Wasilewska — Oblicze dnia. Powieść-reportaż. Warszawa, 1934. Rój.

Irena Zarzycka — Pod wiatr. Powieść. Warszawa, 1934. Rój.

I. J. Singer — Josie Kalb. Warszawa, 1934. Rój.

Michael Arlen — Świat w roku 1987. Powieść. Warszawa, 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

Helena Boguszewska — Całe życie Sabiny. Powieść. Warszawa, 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

Iwan Bunin — Pan z San Francisco. Przekład Wacław Rogowicz. Warszawa, 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

Ernst Lothar — Młyn sprawiedliwości. Powieść. Autoryzowany przekład M. Tarnowskiego. Warszawa, 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

Tadeusz Nowacki — Na papierowych szynach. Powieść. Warszawa, 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

Adam Tann — Obraz ojca w czterech ramach. Powieść. Warszawa, 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

Axel Munthe — Księga o ludziach i zwierzętach. Przekład z angielskiego Stanisława Kuszelewskiej. Warszawa, 1934. Wyd. J. Przeworskiego.

KRYTYKA, HISTORIA LITERATURY.

Tadeusz Grabowski — Krytyka Literacka w Polsce w epoce realizmu i modernizmu (1865 — 1933). Poznań. Nakł. Pozn. Tow. Przej. Nauk. 1934.

Dr. Julian Krzyżanowski Prof. Uniw. w Rydze — Romans polski wieku XVI. Lublin. Skład główny: Dom Książki Polskiej. 1934.

Zdzisława Kłoberówna — Kocham i cierpię. Cierpienie w poezji i poglądach Mickiewicza w stulecie urodzin „Pana Tadeusza”. Soryj, 1934. Skład Główny: Dom Książki Polskiej.

SZKICE, ESSEJE

Ferdynand Hoesick — Książki i ludzie. Feljety literackie. Serja pierwsza, rzeczy obec. Trzaska, Ewert i Michalski S. A.

Ferdynand Hoesick — Książki i ludzie. Feljety literackie. Serja druga, rzeczy polskie. Trzaska, Ewert i Michalski S. A.

Ferdynand Hoesick — Adam Mickiewicz w feljetonach lit. Trzaska, Ewert i Michalski.

PLASTYKA.

Jana Piotra Norblina Prace Rytownicze opracował i chronologiczno-opisowym wykazem opatrzył Przemysław Smolik z 30 ilustracjami. Nakładem Tow. Bibliofilów w Łodzi.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

(j. e. s.)

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19.

Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie.

Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Święcicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10